odgłosu

Nr 19 (323)
10. V. 1964 R.
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK ROK VII

W numerze: Kronika podziemnej drużyny harcerskiej ● Nie od razu „Bałtyk" zbudowano ● Żeromski ● Teatr myślący ● Wróżby kaliskie ● Dlaczego lubimy szeryfa? ● Polonica ● Felietony ● Recenzje

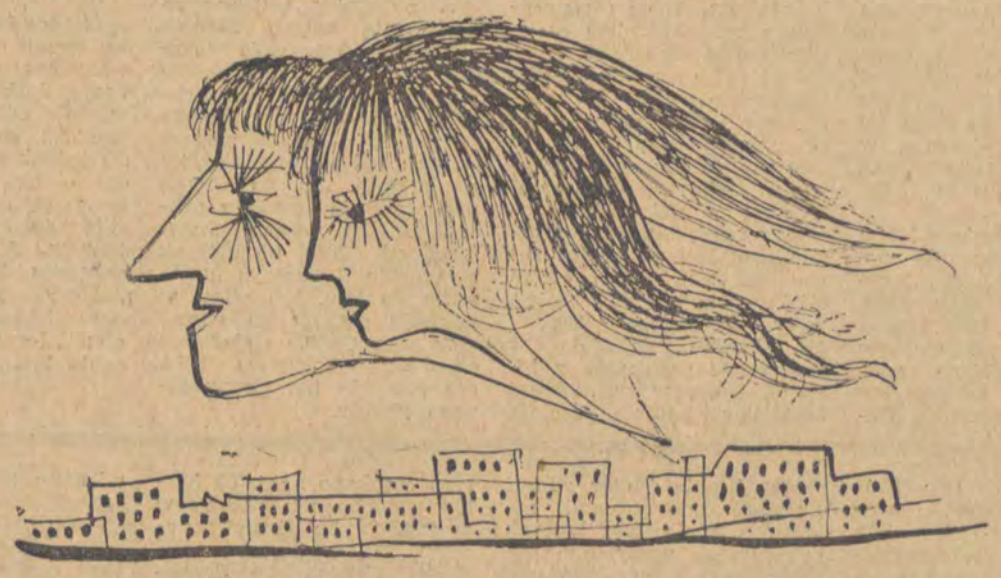

Młody on nie był na pewno, ten, tam na dole, na alejce asfaltowanej, czy to ranek czy wieczór, czy to dzień powszedni czy niedziela, siedział na ławce, tak, jakby to była jego praca, tak, jakby mu się tu coś pod nogami rozbiło i przyglądał się szczątkom.

Krąg asfaltowy trzymał go ale zapewne i ranił, bo ten człowiek wysoki, w grubej granatowej kurtce, ciemnej, i ciepłej chyba, bo było dość zimno, a on siedział i siedział, jakby siedząc pracował, jakby oglądał to co jutrzejsze, jakby żegnał, to co wczorajsze i patrzał jak trawa porasta plac i może czekał a może sam chciał dokonać jakiegoś cudu, w sobie, w swoim wnętrzu, bo chyba był mądry, jeżeli chleb brał ze sobą, wystawał mu grubo ukrojony z kieszeni, a było wietrznie, dzieciarnia i młodzież idąca do szkoły rano była uskrzydlona, po mądrość, po życzenia, a on w swoim wnętrzu chyba pustkowie mieć musiał dzikie, bo i na kobiety nie zwracał uwagi ani na panny, ani na dziewczyny podlotki, ani na mężatki, jakby do wszystkich mu było za daleko, ale był cały, to było widać, bo nie reagował kiedy chłopaki z Towarowej gwizdali, ani stary nie był, bo nie miał siwych włosów, jak to normalnie stary, ani z graczami w karcięta też nie gadał, bo zresztą już robiło się ciemnawo, ani się nie chwiał i nie wiadomo było czy to ktoś, czy to stróż, bo stróż tu był niepotrzebny, więc chyba ktoś.

Przez co jednak on tak siedział, po co, skąd on tak siedział, dokąd on tak siedział przykuty do wiatru, bo już wiatr ciągnął od bram, a on patrzał na trawę jak na łan pszenicy, to znów jakby wiedział co jest pod trawą, to znów patrzał na nią jak na aerodrom, a butami pociągał symetrycznie, prawą dłonią oparty na kolanie prawym, z łokciem wciśniętym w oparcie ławki, lewym ramieniem czasem sterował dość swobodnie, widać było czuje się dobrze, a i ciężar swój miał, bo to był chłop wysoki i z powodu zimna na pewno by nie płakał.

Ale na trawę, jak już tak siedział kilka godzin, to zaczynał patrzeć jak na ziel-

Dalszy ciąg na str. 5

Już wiosna

Po tylu zawodach nie można już ufać kalendarzowi. Zresztą są pewniejsze sposoby ustalania wiosny w przyrodzie i w umysłach: poprzez święto książki. Maj przestał być miesiącem, stał się szeroką na całe miasto, ba, na cały kraj witryną. 77 milionów egzemplarzy książek z okładem to produkcja jednego tylko roku wydawniczego 1962. Znakomita ich większość w ciągu paru tygodni trafiła w ręce czytelników. Poprzez mnogie biblioteki publiczne i poprzez lady licznych księgarń. Na niektóre tytuły był run większy niż na cytryny w „Delikatesach", a to już o czymś świadczy.

Tegoroczne Dni Oświaty, Książki i Prasy tak samo rozpoczęły wiosnę. Rok temu Warszawa zaryzykowała przeniesienie tradycyjnego kiermaszu z Alei Ujazdowskich na plac Defilad. Chwyciło. Ostatniej niedzieli łódzki Dom Książki zdecydował się na lokalizację stoisk wydawców w parku im. Sienkiewicza. Już chyba dawno dostojny park śródmiejski nie oglądał tylu ludzi zgromadzonych na raz. Tłoczono się przy ladzie opanowanej przez pisarzy Łodzi zbrojnych w szybkostrzelne pióra. Miło wspomnieć przy okazji, że i czterech członków kolegium redakcyjnego „Odgłosów" miało tam swój skromny udział. Wystrzelali całą amunicję.

„Dni" zaczęły się w niedzielę, 3 maja i potrwają jeszcze przez dwie następne niedziele. Ich program jest jak zwykle obfity: odczyty, spotkania autorskie, występy zespołów artystycznych, konkursy i loterie. „Dni" jak wszelkie inicjatywy odświętne mają to do siebie, że są ściśle zakreślone w czasie. A potem mijają. Są inicjatywy, które mijają bez echa. Dni Oświaty, Książki i Prasy to nie dotyczy.

Zresztą w swoim założeniu majowe „Dni" są prezentacją dorobku kulturalnego naszego kraju, na który złożył się wieloletni wysiłek działaczy kulturalnych i pisarzy, pracowników prasy i radia, bibliotek. Dokonując bilansu obu dwudziestoleci, międzywojennego i tego, który jest naszym bezpośrednim udziałem, łatwo uzmysłowić sobie dokonany postęp. Mówi to wyraźnie globalna produkcja książek, stały rozwój bibliotek, muzeów i teatrów. Ale postęp kulturalny ma to do siebie, że powiedzenie: apetyt rośnie w miarę jedzenia pasuje do niego w dwójnasób. Stąd tłumy w parku im. Sienkiewicza, które przybyły tam z potrzeby przyjaźni. Przyjaźni z książką. Nie zapominajmy o tym w roku przyszłym, aby było jak najmniej zawiedzionych, którzy z niczym odeszli od stoisk. By dla nikogo książek nie zabrakło.

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

WCZORAJ SKOŃCZYŁA SIĘ WOJNA

1. Co dziesięć minut wybiegam wraz z dużą grupą podróżnych z podziemnych przejść, na peron — i co dziesięć minut słyszę z głośnika, że mój pociąg opóźnia się o dalsze kwadranse. Nie tylko u nas — myślę sobie nie bez złośliwej satysfakcji. Tyle, że publiczność tu cierpliwsza. Wreszcie podstawiają nasz krótkobieżny Bummelzug, jak większość — dwupiętrowy, ktoś stojący u góry na czujce daje sygnał, grupa zmarzniętych a gołogłowych młodzieńców krzyczy hura, biegniemy — Abfahrt.

Z Halle do Roitzsch jedzie się raptem pół godziny, przez saksoński, płaski jak stół, smutny o tej porze roku krajobraz. Dziewiętnaście lat temu jechałem tędy w odwrotną stronę — na południe. Kucaliśmy stłoczeni do niemożliwości w bydlęcym wagonie, zamkniętym od zewnątrz żelazną sztabą, zmarznięci do szpiku, zapłakani — bo wagon był po wapnie i pył z podłogi wgryzał się w oczy, drapał w podniebienie. Do Bad Sulza nie tak daleko, ale przez zbombardowane stacje i zdezorganizowane wojskowymi transportami trasy jechaliśmy prawie trzy doby.

A właśnie pociąg staje na moment, przez otwarte drzwi wraz z tumanem słodkawej pary wpada piskliwy okrzyk tęgiej kolejarki — Roitzsch! I wychodzi się wprost w ten tuman, w jednostajny donośny szum, w zimę 1944, w gorącą i ckliwie cuchnącą parę; cukrownia stoi tuż koło stacji.

Jeden rzut oka odnajduje wszystko, skóra cierpnie z wrażenia. To ja tam siedzę u wylotu taśmy transportera pod malutkim daszkiem (żeby nie padało na sunące po taśmie worki z cukrem), korzystając z chwili przerwy przed podstawieniem nowego wagonu. Taka sama jest noc — zimna, mokra i czarna, i ten huk maszyn i para, przez którą czasem nie widać na parę kroków. Dwanaście do osiemnastu godzin miotania się ze zbyt ciężkimi workami, reszta — to kamienny sen, po którym każdą kość i każdy mięsień trzeba budzić osobno, a nie pasują do siebie i bolą. A tamten budynek to łaźnia i kuchnia, z której trzy razy dziennie przyniosą nam kompot z brukwi Ukrainki z nogami w szmatach powiązanych sznurkiem. Zaglądam przez okna; łaźnia jest tam nadal, tyle że czystsza i podremontowana, młode chłopaki bez żenady podchodzą na golasa do okien, klepią się po tyłkach i hałasują. Budynek rozbudowano i ulokowano w nim dom młodego robotnika.

— Czy pan czegoś szuka, mein Herr? — pyta uprzejmie kolejarka, zaniepokojona, że jakiś bardzo obcy facet krąży po pustych torach, zagląda przez szczeliny w płocie. Muszę coś powiedzieć.

— Jestem gościem waszego Związku Pisarzy, a tu doskoczyłem z Halle, żeby zobaczyć miejsce, gdzie dziewiętnaście lat temu pracowałem parę miesięcy. Parę miesięcy — cząstkę mojej długiej „kariery" jeńca wojennego.

— Ach, so? Teraz tu się zmieniło — mówi niepewnie.

— Nic się nie zmieniło, wszystko haargenau tak samo — mówię i uświadamiam sobie zaszłe nieporozumienie. — Oczywiście — prostuję — mówię o scenerii, o tym tutaj...

Ogromne bryły czarnych murów. Malutkie drzwiczki do kotłowni, gdzieśmy z Wojteczkiem borykali się jak zwierzęta z molochem ognia, żaru, pyłu i żużlu. Kotłowni tam już nie ma, była od dawna przestarzała i skazana na likwidację. Napowietrzne tory jeżdżącego dźwigu, po których Jasio Partyzant ewolucje jak w Lunaparku wyczyniał — tak, ten sam wesoły Jasio, który parę lat temu uznał, że żyć dłużej nie trzeba. Młyn kruszący bryły wapna, przy którym pracował w masce krępy Iwan, a maska była nieszczelna i dostawał się do niej pył i przesłaniał wzrok, przesłaniał, aż Iwanowi rękę urwało i zabrali go do lagru, chyba nie na zbyt dobry los. A tam gdzie hałda koksu stały nasze dwa baraczki: polski i słowacki, i latrynka, przez ścianę której można było wymienić kradziony cukier na cebulę. — Wszystko tak samo, oprócz tych baraczków — mówię i odchodzę żeby uspokoić kolejarkę.

Dalszy ciąg na str. 3

odgłosy W świecie

ZAMACH NA PREZYDENTA?

Czas akcji — 26 lutego 1964. Miejsce akcji — Biały Dom. Na nagłym zebraniu, zwołanym w trybie alarmowym, sekretarz stanu Rusk, minister obrony Mc Namara, szef wywiadu Rowley i kierownik FBI Hoover radzą nad środkami zaradczymi, jakie należy natychmiast podjąć, by uchronić prezydenta Johnsona przed zagrażającym mu zamachem. Panuje atmosfera pełna napięcia. Nazajutrz prezydent odlatuje z Waszyngtonu na Florydę. Czy odwołać tę ważną polityczną podróż? Czy przełożyć ją na inny termin? Debaty toczą się początkowo w obecności prezydenta, aby jednak ułatwić komisji podjęcie tej ważnej decyzji, Johnson w pewnej chwili wychodzi. Pozostali mają teraz zadecydować sami:

Komisji bezpieczeństwa głowy państwa sprawa wydaje się arcypoważna. Pewna zaprzyjaźniona z USA ambasada w Hawanie, a równocześnie koła zbliżone do tzw. kubańskiego rządu na wygnaniu, działającego w Miami, zaalarmowały Departament Stanu, że właśnie w czasie jutrzejszego lotu samolot prezydenta Johnsona zostanie zestrzelony przez kubańskie eskadry wysłane na rozkaz Fidela Castro. Ostrzegający dostarczyli plany całej tej operacji, w niewytłumaczalny sposób przez nich zdobyte, a także listy kubańskich lotników, którzy mają wziąć udział w operacji: trzeba się liczyć z możliwością ataku zmasowanego, lub użycia myśliwskiego samolotu jako żywej torpedy.

Rusk, Mc Namara, Rowley i Hoover zdają się nie pamiętać, że wiadomość pochodzi z tego samego źródła, które już raz przyczyniło się do kompromitacji Ameryki w skali międzynarodowej. Ci sami informatorzy ponoszą przecież częściową winę i za klęskę w zatoce Świń: to oni zapewniali wówczas, że na interwentów z wytęsknieniem czeka cały naród kubański.

Jaki był prawdziwy przebieg tej nieszczęsnej inwazji, nie trzeba chyba nikomu przypominać.

Mimo to komisja, oczywistą, nową prowokację traktuje z największą powagą. Zamiast wzruszyć ramionami, lub po prostu zastanowić się, jakim celom miałby taki zamach służyć, wytrawni politycy Rusk i Mc Namara popadają w nerwowość graniczącą z histerią. I oto w największej tajemnicy podjęte zostają niezwykłe środki ostrożności. Prezydent odbędzie swą podróż, ale pod silną strażą jednostek lotnictwa. Łodzie podwodne, niszczyciele i lotnictwo marynarki na Morzu Karaibskim prowadzą masową akcję patrolową. Jednocześnie całą noc trwa pośpieszna kosmetyka samolotu prezydenta, który rano czeka na start wśród czterech maszyn identycznie pomalowanych i o tych samych znakach rozpoznawczych. Agenci z FBI usuwają z lotniska wszystkich obecnych i Johnson wsiada do jednego z czterech identycznych samolotów, które startują po kolei w małych odstępach czasu. W powietrzu nie sposób je rozróżnić. W którym leci prezydent, tego nie wiedzą nawet oficerowie pełniący służbę przy kontrolnych urządzeniach radarowych.

A z lotnisk wojskowych na terenie całych Stanów startują jednocześnie eskadry myśliwców i samolotów szturmowych. Te najszybsze, typu Gatling, zbrojne w rakiety i działa mogące oddać sześć tysięcy strzałów na minutę, ani na chwilę nie odstępują samolotu prezydenta. Na pasach startowych od Alaski po Meksyk wyją silniki maszyn gotowych do lotu. Ich piloci w napięciu czekają na sygnał do startu. Co się stało? Już od dawna lotnictwo USA nie przeżyło tak powszechnego alarmu.

Wreszcie samolot prezydenta ląduje zgodnie z planem na Florydzie. Dalsza podróż odbywa się w opancerzonym samochodzie po bocznych drogach, pod pieczą nisko lecących helikopterów. Wieczorem droga powrotna z zachowaniem tych samych środków ostrożności.

A potem, już w Waszyngtonie Johnson zwołuje krótką konferencję swego gabinetu: prezydent jest zirytowany. Przebieg konferencji otacza tajemnica, ale i tak wiadomo, że Biały Dom znów padł ofiarą prowokacji antykubańskiej. I oczywiście można by cały ten epizod uznać za mało ważną kartkę z kronik zimnej wojny, prowadzonej przeciw Kubie, gdyby nie głębszy, bardziej poważny aspekt sprawy. Jest to bowiem klasyczny przykład tych sposobów, jakich używają reakcyjne koła, by za wszelką cenę zmienić umiarkowany kurs polityczny prezydenta Johnsona. I takiemu właśnie celowi miała prowokacja służyć. Może stać się jednak odwrotnie, świadczy o tym chociażby fakt, że prezydent Johnson był całą tą sprawą bardzo zirytowany. A Pierre Salinger (wówczas jeszcze sekretarz prasowy Białego Domu) określił historię arcydobitnie: „Jeszcze jeden generalski kruczek"!

SM

POLONICA

UTWORY ST. J. LECA W AUSTRII

W ukazującym się w Villach (zachodnia Austria) periodyku poetyckim „Der Bogen", nr. 14 opublikowano, już po raz drugi w tym wydawnictwie, wiersze Stanisława Jerzego Leca w przekładzie Georga Drozdowskiego, poety austriackiego, pochodzącego z Czerniowiec. Tym razem wiersze Leca drukowane są równolegle w dwu wersjach: polskiej i niemieckiej. Wiedeński miesięcznik „Forum" (z kwietnia br.) drukuje dwie kolumny „Myśli nieuczesanych" Leca z zapowiedzią ukazania się nowego tomu tych aforyzmów u wydawcy Hansera w Monachium.

O STOSUNKACH NIEMIECKO-POLSKICH

Wychodzące już od siedmiu lat czasopismo miesięczne w Monachium pn. „Deutsch-Polnische Hefte", przynosi w drugim tegorocznym numerze (z lutego) artykuł dr Mariana Szyrockiego „Niemiecka literatura w Polsce — przegląd historyczny", wywiad z prof. Wacławem Kubackim, wiersz Johannesa Bobrowskiego „Mickiewicz" oraz ciekawą część dokumentacyjną pt. „Zlikwidować uprzedzenia — znormalizować stosunki z Polską", zawierającą głosy z dyskusji zorganizowanej w dniu 25 stycznia 1964 roku w Wuppertal przez Towarzystwo do Wymiany Kulturalnej i Handlowej z Polską. W dyskusji zabierali głos pisarze i profesorowie, domagając się nawiązania wszechstronnych stosunków kulturalnych i politycznych z naszym krajem.

POCHWAŁA ŁÓDZKIEJ SZKOŁY FILMOWEJ

W zachodnioniemieckim czasopiśmie „Filmkritik" i w dzienniku „Die Andere Zeitung" ukazały się obszerne artykuły, poświęcone łódzkiej Wyższej Szkole Filmowej. Artykuł w „Die Andere Zeitung" brzmi: „Wzorem dla niemieckiej Akademii jest Wyższa Szkoła Filmowa w Łodzi" i kończy się następującymi słowy: „Ktokolwiek podejmie sprawę utworzenia Wyższej Szkoły Filmowej w Republice Związkowej, będzie musiał orientować się na charakter łódzkiej uczelni. Tymi bowiem miarami należy mierzyć rangę i artystyczną jakość niemieckiego szkolnictwa filmowego". Pochwała, jak widzimy, niebagatelna. Oby tak dalej.

RECENZJA O „SZKICACH O SZEKSPIRZE"

W dodatku literackim „Frankfurter Allgemeine Zeitung" z 25 kwietnia br. znajduje się obszerna recenzja o „Szkicach o Szekspirze" Jana Kotta, która to książka ukazała się w NRF pt. „Shakespeare heute". Autor recenzji, Alfred Günther, pisze między innymi: „Polak, Jan Kott, krytyk teatralny, profesor literatury na Uniwersytecie Warszawskim, tłumacz Diderota i Sartre'a, potraktował dzieło Szekspira w sposób bardzo osobisty. Przy ogromnej wiedzy potrafił zachować świeżość, tak potrzebną krytykowi teatralnemu, a ponadto cechuje go wyjątkowe zrozumienie istoty sztuki szekspirowskiej".

HENRYK KATZ

MARKS W KARLOWYCH WARACH

Słynne uzdrowisko Karlowe Wary, ongi pod nazwą „Karlsbad", gościło 70 lat temu człowieka, którego nazwisko stało się postrachem dla sfer zapełniających w sezonie ten i inne kurorty europejskie. Marks, znany już powszechnie wódz Międzynarodówki, w pojęciu tych sfer był głównym inspiratorem Komuny Paryskiej, zaś w sferach intelektualnych znany już był jako autor wielkiego dzieła — „Kapitału", którego poziom naukowy szedł w parze z niebezpieczną tendencją rewolucyjną. Karlsbad znajdował się w tym czasie w granicach monarchii austro-węgierskiej, zaś w sierpniu 1874 roku w stolicy państwa, w Wiedniu, odbywał się proces, w toku którego jako dowód winy jednego z oskarżonych przytoczył prokurator fakt posiadania fotografii „socjal-komunisty" Karola Marksa.

Chroniczne od lat utrapienia zdrowotne nie opuszczały Marksa. Szczególnie dokuczliwe stawały się bóle głowy i bezsenność, w miesiącach zimowych trapiły go reumatyzm i bronchit. Nie ustawały dolegliwości wątroby. Do Karlsbadu Marks postanowił się udać za poradą zawsze troskliwego doktora Kugelmanna z Hanoweru, który był entuzjastą idei, wiernym uczniem londyńskiego mistrza.

Już od ćwierć wieku przebywał Marks na emigracji. Był bezpaństwowcem, ongiś pozbawionym obywatelstwa państwa pruskiego, więc opuszczenie granic Wielkiej Brytanii, groziło niebezpieczeństwem. Jeszcze w 1869 roku wyjeżdżając do Paryża nosił się Marks z myślą przyjęcia obywatelstwa brytyjskiego. Dopiero w lecie 1874 roku postanowił myśl tę zrealizować, lecz angielskie Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (Home Office) odrzuciło jego podanie uzasadniając to faktem, że petent „nie był lojalny wobec swego króla" (tzn. króla Prus). Do Karlsbadu więc wyjechał Marks jako stale zamieszkały w Anglii cudzoziemiec bez przynależności państwowej. Przybył w towarzystwie swej 19-letniej córki, Eleonory, dnia 19 sierpnia. Do Karlsbadu przybyła również rodzina Kugelmannów i zajęła apartament obok pokoju Marksa w pięknym, ale drogim hotelu „Germania".

Lekarz, który z polecenia Kugelmanna zajął się Marksem, zaniepokoił się renomą swego pacjenta. By zapobiec ewentualnej odmowie przyjęcia go przez zarząd uzdrowiska, poradził mu, by zapisał się jako „Charles Marx", a w rubryce zawód podał „rentier". Pociągało to za sobą tę konsekwencję, że Marks musiał płacić podwójną opłatę kuracyjną. By utrzymać swą opinię bogatego rentiera pozostał w luksusowym hotelu. Toteż pieniądze, w które zaopatrzył go Engels, miast starczyć na pięć, starczyły zaledwie na trzy tygodnie, lecz i z tej opresji wyratował go przyjaciel nową przesyłką „prochu" (jak nazywał pieniądze Marks).

Marks odbywał intensywną kurację. Ulgę wątroby odczuł dość szybko, lecz bezsenność wzmogła się, co było raczej bezpośrednią reakcją i dowodem skuteczności kuracji. W toku jego pobytu w Karlsbadzie ukazał się w wiedeńskim brukowcu pn. „Sprudel" artykuł, w którym Karol Marks i polski arystokrata z obozu Czartoryskiego hrabia Plater zostali nazwani przywódcami rosyjskich nihilistów, których rewolucyjne poczynania spędzały sen z oczu „obrońców porządku". Taka renoma nie przeszkodziła w zawarciu przyjemnych znajomości, wśród których przeważali lekarze. Natomiast doszło do ostrej sprzeczki i zerwania stosunków między Marksem a Kugelmannem. Nie miało to jakiegokolwiek podłoża politycznego. Entuzjazm hanowerskiego lekarza dla swej osoby i zwierzenia osobiste odczuwał Marks jako natręctwo. Po gorącej kłótni w dniu 6 września Marks wyprowadził się o piętro wyżej, a dopiero na kilka dni przed opuszczeniem Karlsbadu doszło do pojednania. Marks zdawał sobie sprawę, że kuracja uczyniła go nadwrażliwym i skłonnym do irytacji, lecz trudno mu było wybaczyć Kugelmannowi. „Ten arcypedantyczny, mieszczańsko-sklepikarski filister" — oto charakterystyka Kugelmanna, jaką dał w liście do Engelsa żaląc się, że on „poważnie zepsuł mi kurację". W istocie pobyt w Karlsbadzie miał ten skutek, że jego stan zdrowia znacznie się poprawił.

W rok później wybrał się Marks ponownie do Karlsbadu — tym razem bez swej córki. Już sama podróż była pełna wrażeń. Trup młodego Niemca na okręcie z Anglii do Holandii, przewożonego celem pochowania go w mieście rodzinnym; długa rozmowa z żydowskim kupcem, którego oszukano na 1.700 funtów szterlingów; podróż w wagonie z katolickim księdzem Mutzelbergerem, zastępcą biskupa we Frankfurcie, który dopiero po poczęstunku butelką koniaku z zapasów Marksa, począł śmielej wypowiadać się, w języku angielskim, na temat „wolności" panującej w Rzeszy Niemieckiej (był to okres Kulturkampfu). Bardziej ożywczo podziałały na Marksa już pierwsze dni pobytu w Karlsbadzie. Brak doktora Kugelmanna — informował Engelsa — podziałał nań — „bardzo uzdrawiająco", a nadto Marks postanowił być „swym własnym lekarzem". Tym razem jako swój zawód podał „doktor filozofii" płacąc w ten sposób o połowę mniejszą w porównaniu z zeszłym rokiem opłatę kuracyjną. Bardziej jeszcze niż w zeszłym roku uroki okolicy i swoista oryginalność publiki karlsbadzkiej pozwalały jego systemowi nerwowemu na pełne odprężenie. W Karlsbadzie jest najmniej „przeciętnych ludzi" mistrza statystyki Queteleta, zaobserwował Marks. Walki „partyjne" sprowadzają się do sporów wokół tego, które piwo jest najlepsze, lub gdzie podaje się najlepszą kawę. Tym razem noce jego (w tymże samym hotelu „Germania") były — jedynie z wyjątkami — bardzo dobre. Był wzorowym kuracjuszem, pijąc przed południem pięć szklanek gorącej wody mineralnej, a dwie zimne — po wstaniu z łóżka i przed udaniem się na nocny spoczynek. Marks podczas swego pobytu nie był świadom pewnego szczegółu, odkrytego dopiero w pół wieku później. Policja austriacka — tym razem — dobrze wiedziała, kim jest doktor filozofii „Charles Marx" z Londynu i poddawała go dyskretnemu nadzorowi.

Po raz trzeci wyjechał Marks do Karlsbadu w lecie 1876 roku. Tym razem towarzyszyła mu ponownie Eleonora. Na miejsce przybyli 14 sierpnia, zaś ich rezerwacja w pensjonacie ważna była dopiero od następnego dnia. Karlsbad był przepełniony kuracjuszami i turystami, między innymi uczestnikami kongresu młynarzy i piekarzy. Po bezskutecznym poszukiwaniu noclegu w okolicy ojciec i córka spędzili noc na twardej ławie w poczekalni kolejowej. Lecz kłopoty minęły następnego dnia, a Karlsbad tego wyjątkowo gorącego i suchego lata raz jeszcze cudownie podziałał na organizm Marksa.

Był to ostatni jego pobyt w tym uzdrowisku. Następnego roku udał się do nadreńskiej miejscowości kuracyjnej Neuenahr w towarzystwie swej żony Jenny i córki Eleonory. Jenny Marks znajdowała się w początkach choroby, której lekarze nie mogli jeszcze rozpoznać. U Marksa lekarz stwierdził całkowity powrót jego wątroby do stanu normalnego, zaś źródło choroby odkrył w stanie jego systemu nerwowego. Uzupełniającą kurację odbyli Marksowie tego roku jeszcze w Schwarzwaldzie. W przyszłym roku rozpoczęła się już w Niemczech nagonka antysocjalistyczna i Marks nie ważył się jechać tam na kurację, lub nawet na podróż przez ich terytorium do Karlsbadu. Miejsc kuracyjnych szukał odtąd we Francji i w samej Anglii.

Przegląd prasy

W pierwszomajowym numerze **„KULTURY"** zamieszczone jest wspomnienie Marszałka Polski, Mariana Spychalskiego „O artyście malarzu Franciszku Bartoszku". Franciszek Bartoszek („Jacek") to jeden z tych bojowników, którzy zginęli za Polskę i demokrację. Trzeba o tych ludziach mówić, pisze autor, przekazać pamięć o nich naszej młodzieży, aby w nich doszukała się swego rodowodu, obejmującego dziesiątki bohaterów z warstw inteligencji, robotników, chłopów. Można ich wymieniać długo. Malarzy — jak Franciszek Bartoszek, Zygmunt Bobowski, architektów — jak Nowicki, Skrypij, Skrzeszewski, pisarzy — jak Zygmunt Jarosz i wielu, wielu innych". W tym samym numerze „Kultury" znajdujemy szkic K. T. Toeplitza „Dzieła wszystkie pisarza polskiego". Autor pisze o trudnościach związanych z zawodem pisarza. Uwagi swoje traktuje w ogromnej mierze jako dyskusyjne. Pisząc np. o gettowym charakterze życia literackiego w Polsce, Toeplitz dowodzi, że jest on symbolem stanu społecznej niestabilności, jaka prześladuje środowiska pisarskie. „Pisarz nie ma pewności, czy jest potrzebny, szereg symptomów zewnętrznych potwierdza jego wątpliwości w tej materii... Z tym poczuciem chroni się on w hermetycznych kawiarnianych gettach... gdzie znajduje również rodzaj rekompensaty w postaci kawiarnianej giełdy literackiej". Słuszny jest postulat autora mówiący o nowej roli pisarza we współczesnym społeczeństwie. Rola ta musi być inna niż dawniej. „Środowiska pisarskie, podlegając obiektywnym procesom, zachodzącym w naszym stuleciu na całym świecie będą musiały wyrzec się — czy to się komu podoba, czy nie — swoich funkcji mesjanistycznych. Funkcje te po prostu stają się obecnie społecznym anachronizmem". W każdym razie, nawoływanie Toeplitza do wnikania w „głębsze zasadnicze strukturalne problemy zawodu pisarza jest w pełni uzasadnione. Bogaty numer ostatniej „Kultury" wieńczą obszerne fragmenty tragedii Bohdana Drozdowskiego „Buntownik" (Rzecz o I Proletariacie). Oczywiście znajdujemy również d. c. prozy Władysława Machejka „Dziad i Żyd czyli wszystko inaczej".

„POLITYKA" rozpoczyna nową akcję. W cyklu „Panorama zawodów" redakcja pragnie pokazać „zawody z przyszłością". Co to są zawody z przyszłością? „Jesteśmy przekonani, że istnieje ogromna potrzeba uświadomienia sobie zmian w profilu zajęć zdezaktualizowanych i tych mających perspektywę na najbliższych pięć i piętnaście lat. ...Istnieje dość poważna rozbieżność między świadomością prestiżu niektórych zawodów a potrzebami gospodarki, konkretnym zapotrzebowaniem społecznym... A pamiętać należy, że proces przygotowania kadr jest jednym z najdroższych, że nieudany wytop jest tu może bardziej brzemienny w konsekwencje niż w hutnictwie". „Polityka" rozpoczyna prezentację od górników, których zawód Zygmunt Szeliga nazywa „zawodem silnych". W zawodzie tym do 1970 r. zatrudnimy dodatkowo 25 tys. pracowników. Warto zwrócić także uwagę na „Świat", który w rubryce „XX lat" analizuje metody porównań dwudziestoleci: międzywojennego i obecnego.

Wczoraj skończyła się wojna

Dalszy ciąg ze str. 1

Przed bramą wjazdową karawana ciężarówek z burakami — oczekują na wagę. Jakże swojski obrazek: pomiędzy samochodami konwojenci w filcowych butach, z opuszczonymi nausznikami, czerwoni na twarzach i zarośnięci, odbijają dłońmi wódkę, przechylają się z lubością do tyłu, zagryzają trzymaną przez papierek kiełbasą. Od tej bramy w lewo powinien być piętrowy dom z czerwonej cegły, do którego wszedłem kiedyś z wielkim strachem, po ryzykownym wydostaniu się przez wszystkie płoty i parkany. Jeńcy serbscy, którzy tam w sporej salce na dole kwaterowali, poderwali się z zasłanej słomą i łachami podłogi, mówiliśmy idiotycznym językiem bez gramatyki i składni, trzęśli moją rękę, wydelegowali jednego żeby mnie zaprowadził do Niemca, u którego można słuchać angielskiego radia. Po to właśnie wychodziłem przez płoty i parkany. Piętrowy dom stoi, w salce na dole dwie dziewczyny nudzą się w okienkach pocztowych, ich szef z hałasem przybija stemple na stercie przekazów.

Dalej też trafię, bez pomocy serbskiego przyjaciela.

— — — — — — —

Uliczka nazywa się dziś Wilhelm Pieck Strasse, dom ma numer 15. Boże, jak mi serce wali, znów przecież mogą mnie zaczepić — co ja tu robię po ciemku, dlaczego skradam się do furtki i otwieram ją jednym pchnięciem, żeby nie skrzypnęła? — Czy pan czegoś szuka? — zapytają. Czego szukam?

Już nie skrzypi pod stopami żwirek podwórza. Za zamkniętymi okiennicami głośno i swobodnie rozmawiają ludzie, wtedy więcej nasłuchiwano niż mówiono. W milczące wnętrze domu stąpanie po żwirku uderzało jak groch o szybę. Wybetonowali. Czym mógłbym teraz rzucić w tamto okienko, dać sygnał, żeby gospodarz zszedł i wpuścił do prawdziwej mieszkalnej izdebki, z czajnikiem, poduszką i radiem?

Nie dopytam się o niego, skoro nie mogłem oczywiście znać nazwiska. Jeśli żyje — jest już chyba bardzo stary, ale i to niepewne, czas różnie się liczy, a zresztą zawsze widzieliśmy się w półmroku, rozmawiali szeptem. Leb'wohl Metschislaw — żegnał mnie za ostatnim razem, gdy już było pewne, że nas przenoszą. Mojego imienia prawdziwego też nie mógł znać. Nie dopytam się, zajrzę tylko tam za róg oficynki, tej samej — to jest właśnie to samo miejsce świata, na końcach palców przez oblodzony beton, jeszcze jeden raz — nie do wiary... Okazuje się, że można było uciekać w przeciwną stronę, gdy zaskoczyli mnie przylepionego do ściany, sparaliżowanego strachem, ale czujnego jak ściśnięta sprężynka, tam są ogródki, można było nie stać z wciśniętym w gardło oddechem tylko skok w ciemność i już. A byłem pewien, że to ślepy mur.

Jakże ponura jest ta mieścina. Jakie brzydkie domki, nie okraszone żadnym objawem przywiązania ze strony mieszkańców, brzydkie, smutne i złe. Nie obowiązuje przecież zaciemnienie, a z okien ledwie że sączą się słabe promyki światła, nie prowokują wyobrażeń o przytulnym, ciepłym, pełnym odprężenia wnętrzu, skontrastowanym z drżącą na dworze zimnicą. Nie chce się wchodzić nawet do Gaststuby z drewnianym salcesonem w witrynie. Uciekać stąd i nie wracać — ba, siedzę tam przecież u wylotu transportera z obandażowaną dłonią, pełen smarkatej dumy z komunikatu, przyniesionego nocą z Wilhelm Pieck Strasse 15...

A jest i chwila romantyczna. W najgłębszym mroku, za stacją, oparci o krzywe i zaśnieżone sztachety witamy się i żegnamy spazmatycznie z dwiema polskimi dziewczynami, niebywała rzecz, jedyna na dużo lat. Dziewczyny mają znaczki „P" na piersiach, schwytano je w łapance ulicznej, płaczą na widok munduru. Ten płot też stoi. Za nim przewracają się krzyże starego cmentarza, no to co, że cmentarz? Dziewczyny wsiadły i odjechały, zostały tylko imiona, wywołujące — jak zaklęcie — chmarę niesfornych duchów.

Zaraz też wsiądę i odjadę. Nie jak zgięty i strzelający na boki oczami cień, oderwany spod cmentarnego płotu. Przejdę przez oświetloną stację, na oświetlonym peronie dla mnie jednego zatrzyma się piętrowy Bummelzug. Kolejarka odetchnie z ulgą a po powrocie ze służby opowie mężowi, pewno pracującemu w cukrowni, o dziwacznym turyście.

2. Po tych okolicach krążyliśmy przez dwa tygodnie, wiosna była ciepła, front huczał to z lewa, to z prawa, nurkujące co kilkanaście minut samoloty rzucały nas do rowów, w krzaki, w mokre przełazy pod drogowymi mostkami. Z wielkim trzaskiem waliła się Rzesza, szliśmy głodni, zmordowani, na ostatnich nogach — z tą przeraźliwą tremą, że się nic nie wie o niczym, nawet najbliższej godziny wyobrazić sobie nie sposób, kraj — największa niewiadoma, próżnia, od próżni zaczniemy...

— Nie wyjedziemy stąd później, sehen Sie was nur alles geschieht! — mówi młody kierowca. Z lekkim cykaniem przesuwa się po szybie odśnieżająca szczoteczka, śnieg wyżej osi, kurzy tak, że ledwie sześćdziesiątkę daje się wyciągnąć. Tu gdzieś, w środku tego turyńskiego lasu zagrzebane trzy- cztery chałupki stanowiły ostatnią naszą jeniecką stację, takie same ośnieżone buki piłowaliśmy z Józkiem wielką traczką,

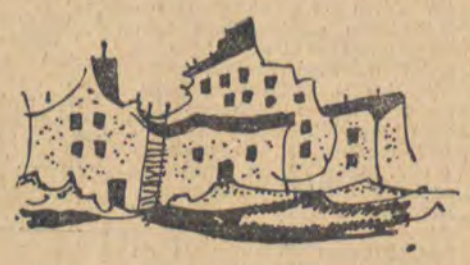

spuszczaliśmy przesiekami w dół — jaka to była jazda! W tumanie białego kurzu, na złamanie karku. Potem te dwa tygodnie szukania drogi, z pokrzykiwaniem wartowników, z przełażeniem przez barykady Rudolstadtu, z noclegiem w ceramicznym piecu w Ilmenau.

— A ta pańska wieś do jak, Wilhelm...?

— Willersdorf! Willer! — powtarzam po raz dziesiąty. Nie spotykamy żywej duszy, chwilami boję się, że rzeczywiście nasza dekawka ugrzęźnie zaraz gdzieś w zaspie, po pół godzinie nie będzie nas widać, rozdzwonią się za nami z Weimaru, niepotrzebna i głupia sensacja. Ale przecież muszę tam dojechać!

— Trudno będzie wrócić. Tam ktoś czeka? — pyta znów kierowca. Więc mówię, a on udaje, że uważa sprawę za wyjaśnioną. Przecież tam dogoniła mnie wolność, zagrzebanego w szopie z koniczyną — mówię. A teraz potrzebuję tej konfrontacji, bo to, wie pan... bo z tego ma wyjść... rozumie pan? — Ja, ja — mówi. — Teraz chyba w prawo, co?

Z wielką pewnością siebie radzę mu zjechać w prawo, bo tam jest strzałka: Schleiz. Potem jedziemy przez Tannę, maleńką stacyjkę z tartakiem i dwiema ulicami — to były pierwsze dwie ulice z miejskimi domami, po których szedłem chodnikiem, bez wartownika, patrzyłem w oczy przechodniom, kupowałem piwo płacąc papierosami. Tu był lasek... lasek, a nie las! a jak się z niego wyszło, to widać już było...

To już widać Willersdorf.

— Tutaj stanąć?

— Nie, trochę dalej jest Gasthaus.

— Był, chciał pan powiedzieć.

— Był i jest — mówię.

Rzeczywiście jest obok kościółka przy skośnym podjeździe, z napisem nad oknami, nie wiadomo dla kogo przeznaczony. Wylażę w swych wielkomiejskich półbucikach prosto w śnieg luźny i sypki, nogi od razu mokre, każdy ślad ma pół metra głębokości. Ale bardzo niewielki wysiłek wyobraźni wystarcza, żeby śnieg zniknął, żeby był upalny zielony maj i czerwiec. Patrzcie — wysoko na wieży jeszcze bieleje kapitulacyjny strzęp prześcieradła, zaraz wjadą czołgi między przerażone źrenice okien i wyjdziemy naprzeciw z tamtej stodoły zawartej na głucho, wyjdzie nas dwudziestu z krzykiem w zaciśniętych gardłach, i ta benzyna po czołgach będzie pachnieć i dzieci przed nami uciekną, a starsi podejdą z niepewnymi uśmiechami, na które nie odpowiemy uśmiechem.

— Chłopaki, fahna na kościele! — krzyknie Mundzio. Ech tam, fahna. Śnieg na parapecie okienka. Uszczypnij się, człowieku, uszczypnij!

W malutkiej szkółce — mniejszej od tutejszych domów mieszkalnych, zwalistych jak warowne blokhauzy — zamykano pojedynczych żołnierzy Wehrmachtu schwytanych w okolicy. Byli niezwykle uprzejmi i dobrze wychowani. Wieczorem przyjeżdżał amerykański truck i zabierał ich w bezpieczniejsze miejsce. Nocami koledzy schwytanych wychodzili z lasów i kryjówek, uzbrojeni, z granatami za pasem, ciężkie bramy domostw zamykały się przed nimi, w opłotkach czasem gruchnął wystrzał. Ten obskurny żelazny scyzoryk o wielkości bagnetu, który do niedawna straszył w szufladzie mego biurka, pochodził właśnie z tej szkoły. — Messer? — pytał mnie oczami i gestem wysoki Jankes, trzymając jeńca za łańcuszek u pasa. — No Messer — odpowiedziałem, bośmy noży nie mieli. Więc szarpnął łańcuszkiem, aż jeniec się zatoczył, urwał i wręczył mi żując gumę — mój jedyny wojenny łup, żelazny scyzoryk na żelaznym kółku. Nie pobudowano jeszcze nowej szkoły, wieś jest bardzo mała, przyjdzie kolej i na nią.

W tym miejscu chciałbym zacząć jeszcze raz. Przedtem strasznie mało zależało od własnych naszych decyzji, ale tu koło zlewni mleka, pośrodku wsi, gdzie wisiały jeszcze czerwone obwieszczenia ze swastyką, tu bym chciał zacząć — myślę bardzo serio, a tymczasem nie wiem nawet jak zagadać, jeśli kogoś spotkam. Dzieci już nie uciekają, mówią grzecznie guten Tag i biegną dalej. Oprócz nich — żywej duszy. W małych okienkach nie mignie żadna twarz, bramy zamknięte, cisza nieskończona — uszczypnij się, czas wstawać. Czy nisko pod wyszczerbioną deską bramy będzie wisiał na gwoździu klucz, jeśli klamka nie ustąpi od razu? Na pewno sięgnę tam ręką, to należało do rytuału, ale co później powiem ludziom w środku?

Bo chyba w środku są ludzie, z kominów wolniutko pykają obłoczki dymu, pachnącego żywicą, dzieciństwem i sielanką.

Klamka jednak ustępuje i przez mroczny tunel bramy wjazdowej wchodzę na obudowany ze wszystkich stron dziedziniec, pełen różnego gospodarskiego sprzętu. Stary bauer zapiera widły w słomie i zaskoczony wyciera ręce o fartuch. W czerwonej i pomarszczonej jak rajskie jabłuszko twarzy błyskają czujne źrenice.

— Ich muss Sie schon mal gesehen haben — mówi, gdy stanąłem nieruchomo i czekam. Musiałem pana już kiedyś widzieć. A pamięta pan takich dwóch Polaków, co tu w ostatnich tygodniach wojny i zaraz po kapitulacji mieszkali? O wiele więcej wie o nas z tamtych miesięcy, niż my sami. Pamięta wszystkie imiona i kto gdzie miał dziewczynę i to, że jeden Francuz z tych co tu po komenderówkach siedzieli nie chciał się rozstać z Ukrainką i zabrał ją do Francji.

Orze swoją ziemię, doi krowy, zarzyna prosiaki.

— To był straszny czas, ta cała wojna, nie? — mówi. — Pan mieszkał w tamtym małym pokoiku. Teraz mamy tu spółdzielnię. Typ eins. Łąki, lasy, pastwiska i bydło indywidualne, ziemia spółdzielcza, aleśmy miedz nie zaorali. Dasz nam kawy, co?

Tęga i czerwona córka kroi skiby sernika. Weihnachtsstollen jeszcze nie gotowe, za dwa- trzy dni napiecze się pełen kosz, będą leżeć na szafach i kredensach, stary wydłubie słodkie zacierki z wierzchu i awantura gotowa. Ech, teraz zdaje się stary więcej ma do powiedzenia niż wtedy, kiedy żona z dorodną córą trzymały sztamę. Ruth, jeszcze pani grywa na pianinie?

Przeleciała wojenna wichura, wydawało się, że przymiecie tu trochę egzotyki, ludzie się różni kręcili, niepokój, fermentowało wszystko, ambicje, determinacja rzucenia się w wielki świat i prztyk — pękło, piecze się strucle, syn ma siedemnaście lat. W tej samej małej szkółce powiedzieli mu o bazie i nadbudowie, o wcielającym się w wielkim trudzie odwiecznym marzeniu o sprawiedliwości. Chłopak ma grube, mocne ręce, wyciąga z kąta zeszyt — pan zna Zimmeringa? Ja tu mam jego wiersze. Pan umie czytać po naszemu? Jeszcze mam więcej wierszy, zaraz... — Lass doch — przerywa matka. Ojciec młodzieńca — wtedy był kimś ze sfery wyobrażeń, ujeżdżał po Europie na ciężkim motorze, wszyscy go się bali — oparł się plecami o piec, nosi sweterek feldgrau, dobra wełna. — Kiedyś wyszedł z lasu Żyd. Pod Kielcami — mówi. — Schöne Stadt, Kielce, nicht war? Wyszedł i prosi — panie żołnierzu, nie zabijajcie, zapłacę. Dałem mu chleba i kazałem prędko uciekać, mówi... Czy tak było, czy nie — dobrze, że uważał za konieczne to powiedzieć. Człowiek powinien mieć sumienie. Teść i żona, których znałem wcześniej od niego, mają czyste konto — orali, doili krowy, zarzynali prosiaki. Więc mówi się tylko po ile u nas masło i na przykład takie buciki, jak moje. Świadomość czystego konta osobistego wyłącza w ich mniemaniu potrzebę mówienia o niefortunnym zbiegu okoliczności, skutkiem którego stałem się kiedyś ich gościem. Na cóż, przyjmuję tę konwencję; nie mam czasu, dekawka śniegiem porasta. A obok tej rozmowy, swobodnej i nie angażującej, wyświetla się drugi, trzeci i dziesiąty plan przejmującego filmu — widzisz, to właśnie tak, i jestem szczęśliwy, młody, wyzwolony, i pełen rozpaczy po spalonej Warszawie i oślepiony swobodą ruchu, starszy o tysiąc rozczarowań, o siedem awansów, o dystans do ważnych, za dużych dla mnie zdarzeń i do siebie, za małego przy tamtych ambicjach, jestem tu i tam naraz wszędzie i zawsze...

— No i co, hat es sich gelohnt? — pyta z lekką nutką podśmiechu kierowca.

Otrzepuję śnieg z nogawek. — Jeszcze jak — mówię i wyłączam się na całą powrotną drogę.

KAROL BADZIAK

Kronika podziemnej drużyny harcerskiej

„Może kiedyś po latach, gdy wojna będzie jeno przykrym wspomnieniem, może jeszcze później, kiedy głowy nasze siwy włos okryje, zasiądziemy późnym wieczorem w gronie najbliższych koło kominka i ze łzami w oczach przewracać będziemy pożółkłe kartki naszej kroniki. Może komuś innemu dostanie się ona do rąk, a on ją z ironicznym uśmiechem odrzuci na bok, może kto inny ze czcią będzie przeglądał, czytając o pewnej grupie 60 chłopców, których zły los odrzucił daleko od ziemi ojczystej. Może który z nas zatęskni jeszcze za kopalnią i przy pomni sobie tę długą pracę w tak ciężkich warunkach życiowych".

Słowa te pochodzą z kroniki tajnej drużyny harcerskiej, która istniała w czasie okupacji na terenie naszego miasta. Kronika opowiada o jeszcze jednym, nieznanym dotąd epizodzie prześladowania młodzieży i dzieci polskich przez okupanta. Dowiadujemy się z niej o dziejach 60 chłopców, których władze niemieckie wywiozły z Łodzi do ciężkiej pracy w kopalni Beendorf koło Helmstedt.

Był rok 1944. Na terenie Łodzi powstała nowa firma Fluggeratewerta, produkująca części do samolotów. Z braku dorosłych robotników, zaczęto do niej kierować młodzież i dzieci, przedstawiając im fabrykę jako zawodową szkołę mechaniczną. Nie trzeba dodawać, że młodzi chłopcy złaknieni nauki z chęcią się tam udawali. Po przekroczeniu progów fabryki następowało zwykle rozczarowanie. Praca bowiem była ciężka i trwała 10 godzin dziennie. We znaki dawali się również niemieccy majstrowie, pełni niechęci i nienawiści do Polaków.

Sytuacja młodzieży uległa poprawie z chwilą, kiedy do zakładu pracy przybyła kilkunastoosobowa grupa polskich robotników. Znaleźli się bowiem wśród nich działacze harcerscy. Z biegiem czasu w największej tajemnicy zaczęto tworzyć harcerskie zastępy. Zadaniem ich było budzenie uczuć patriotycznych i przeciwdziałanie demoralizującym wpływom, na jakie narażona była w tym okresie cała polska młodzież.

W sierpniu 1944 r. niespodziewanie wszystkich chłopców wywieziono z Łodzi w głąb Niemiec do obozu we wsi Beendorf. Praca na świeżym powietrzu podsycała głód i chłopcy zaczęli robić wyprawy po ziemniaki na pola niemieckich bauerów. Wypraw tych zaniechano z chwilą, kiedy trzech chłopców pewnego razu nie wróciło już do obozu.

Sytuacja młodzieży z każdym dniem się pogarszała. Kilku z nich zachorowało na gruźlicę, na nogach tworzyły się im rany, ponieważ chodzili w drewnianych trepach bez skarpetek. Ci, którzy nie mieli skończone 16 lat pracowali 10 godzin dziennie, ci powyżej 16 lat — 12 godzin.

O atmosferze psychicznej wśród chłopców świadczy modlitwa, pełna goryczy, nostalgii i rozpaczy. Jej autorem był jeden z członków drużyny. Pisał wtedy: „Polsko, kraju święty, w którym się urodziłem, Polsko — ziemio ojczysta kocham cię i tęsknię za Tobą. Rzucony zawieruchą wojenną na obczyznę, ja, młody wygnaniec mogę tylko śnić i marzyć o Tobie na obcej i wrogiej mi ziemi. Czy Polaka dolą jest się tak wiecznie tułać? Za co tak cierpimy? Czy długi jeszcze jest kres naszych prześladowań?".

Tymczasem wojska alianckie były jeszcze daleko, Czerwona Armia również. W końcu sierpnia część grupy przewieziono do obozu w Chemnitz. W Chemnitz głód był o wiele większy niż w Beendorf. Podarły się ubrania, trepy rozłaziły się w szwach, a nowych nie otrzymywano. Zbliżała się zima. Na święta Bożego Narodzenia chłopcy mieli otrzymać 10-dniowy urlop, lecz w ostatniej chwili urlopy wstrzymano.

Największą radość sprawił im w tym czasie dzień 17 stycznia, w którym dowiedzieli się, że Łódź jest wolna. 12-godzinny pobyt pod ziemią (470 metrów) działał zabójczo na młode organizmy. Zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli wojna trwać będzie dłużej, żaden z nich nie przeżyje. Coraz więcej było chorych. Z głodu zaczęły się im roić fantastyczne plany ucieczki.

Przed całkowitym załamaniem ratowała ich działalność jaką prowadzono na terenie obozu. Pomagali bowiem tym, którym się jeszcze gorzej od nich wiodło. Młodsi organizowali imprezy kulturalne, przedstawienia i kominki harcerskie, starsi prowadzili działalność sabotażową. Posiadali również bibliotekę składającą się 60 książek. Wydawali także własną gazetkę pt. „Humor i zgroza".

Oto fragment wstępnego artykułu: „Szanowni Czytelnicy!, ubolewając nad brakiem wiadomości i wyższych uczelni w naszym nowopowstałym mieście Askanii wydajemy niniejszą gazetkę, która ma za zadanie uprzyjemnić życie naszym czytelnikom. Zawiera ona w sobie przyjemność z pożytkiem dla umysłu i czytając ją dostrzegamy wiele rzeczy, które dotychczas były dla nas obce. Za grubą kurtyną śmiechu kryje się zgroza...".

Pewnego dnia niespodziewanie wszystkich zwolniono z pracy i kazano wracać do baraków. Cały obóz obstawiony był przez SS-manów uzbrojonych w karabiny maszynowe. Zaczęły krążyć pogłoski, że w Helmstedt są już Amerykanie. Żołnierze SS poczęli wypędzać ludzi z baraków. Długa kolumna złożona z jeńców różnych narodowości ciągnęła się wzdłuż szosy biegnącej obok obozu. W obozie panował nastrój pełen radości i niepokoju. Nasi harcerze również zostali zmuszeni do opuszczenia baraku i pod konwojem SS-manów pomaszerowali w kierunku Berlina. Chłopcy cieszyli się, że są blisko frontu. W pobliżu jakiejś wioski SS przekazało całą kolumnę Volksturmowi. Po oddaleniu się SS-manów chłopcy zaczęli stawiać opór, zdecydowali się nie ruszać z miejsca i czekać na Amerykanów. Rozłożyli się na ziemi i tak doczekali rana. Rano Niemcy usiłowali ich gnać dalej. Przygnębieni i zmęczeni, pod groźbą rewolwerów ruszyli z miejsca. Wtem dały się słyszeć strzały artyleryjskie i szum motorów w pobliżu. Zza rogu wyjechał czołg. Wyskoczyli z niego żołnierze. Spenetrowali ulice i za chwilę pojechali dalej. Młodzież poznała ich. — To Amerykanie! Wolność! Wszyscy zaczęli śpiewać „Jeszcze Polska nie zginęła". Następnie już wolni udali się na kwatery, zaopatrzeni na własną rękę w żywność przestali nareszcie głodować.

8 maja obchodzono radosny koniec wojny. 10 maja zginął jeden z harcerzy przypadkowo postrzelony przez żołnierza amerykańskiego. W tydzień po tym przykrym zajściu cała grupa pociągiem udała się do Magdeburga, a stamtąd dalej na wschód. Następnym etapem był obóz uchodźczy w Hildesheim. Chłopcy pomagali organizować życie w obozie. W chaosie mas ludzkich, które się wtedy przewalały przez całe Niemcy była to chyba jedyna zorganizowana grupa ludności cywilnej. Ponieważ przez granicę przejście było na razie zamknięte, młodzież zaczęła się przygotowywać do uzyskania stopnia harcerskiego, szyto sobie również nowe mundury z materiału otrzymanego od wojska. Resztę czasu spędzano na wycieczkach, zabawach i grach harcerskich. Wreszcie cała drużyna na uroczystym ognisku złożyła przyrzeczenie harcerskie, i zastępami udano się na parodniowe wycieczki po okolicy.

We wrześniu została otwarta szkoła powszechna, do której uczęszczali obowiązkowo wszyscy harcerze. Pewnego razu do obozu przyjechał generał angielski. Z dużym uznaniem wyrażał się o młodzieży, która zdobyła sobie szacunek i popularność wśród uchodźców oczekujących na powrót do swych domów. Tymczasem z dnia na dzień wzmagała się wśród młodzieży tęsknota za ojczyzną. Chłopcy coraz częściej marzyli o domu. 28 września 1945 r. zdecydowano, że dłużej już nie będą czekać i całą drużyną będą starali się dotrzeć do kraju. Wczesnym rankiem wymaszerowali zastępami w kierunku stacji. Szczęście im sprzyjało i dostali się w pierwszym etapie pociągiem do Kassel. W październiku przekroczyli granicę niemiecko-czeską. W dwa dni potem przybyli do Pragi. W Pradze cały dzień pociąg stał na dworcu, dopiero przed wieczorem ruszył dalej, w kierunku Polski. 6 października 1945 roku przekroczyli granicę, przejechali przez Katowice i Częstochowę. W Koluszkach przesiadka na pociąg do Łodzi Fabrycznej. Na dworcu odbyła się ostatnia pożegnalna zbiórka i rozwiązanie drużyny.

Dziś wielu z tych młodych chłopców pracuje i mieszka na terenie Łodzi. M. in. Wacław Dybowski jest operatorem filmowym, Napoleon Jarosik dyrektorem szpitala, Wiesław Leliński ukończył Politechnikę Łódzką, Jan Olczyk jest głównym technologiem fabryki włókienniczej, Henryk Kaczor lekarzem pogotowia. Władysław Bąk milicjantem, Aleksander Łukowski technikiem. Spełniły się więc przewidywania sentymentalnego kronikarza, który 20 lat temu pisał:

„Może kiedyś po latach, kiedy głowy nasze siwy włos okryje, zasiądziemy późnym wieczorem w gronie najbliższych...".

Jerzy URBANKIEWICZ

Nie od razu „BAŁTYK" zbudowano

Jak wiadomo — bracia Lumiere opatentowali swój znakomity wynalazek w roku 1895. A myśmy w Łodzi oglądali kino o cztery lata wcześniej. Dokładnie w tym roku, kiedy Roszkowski odkupił dzisiejszą „Łodziankę" od Rajmonda. Chodzi o tę kawiarnię na rogu Pasażu Meyera, czy jeśli kto woli — ulicy Moniuszki. Otóż jakoś w czerwcu dziewięćdziesiątego pierwszego roku przyszedł do Roszkowskiego adwokat Piątkowski, przysiadł się do stolika, przy którym siedzieli artysta malarz Hirszfeld z inżynierem Bronikowskim.

— Pan jest adwokatem przysięgłym, jak mi się zdaje? — powiedział po przywitaniu Bronikowski.

— Przysięgłym — potwierdził Piątkowski.

— A wiesz pan, mecenasie, kto to jest adwokat przysięgły?

— Chyba wiem. Wszak nim jestem.

— Otóż nie wiesz. Adwokat przysięgły to taki, który dopiero musi przysięgać żeby mu uwierzyli.

Piątkowski przez chwilę zastanawiał się, czy się obrazić, czy nie. Miał jednak w zanadrzu zbyt ciekawą wiadomość, by niewczesną obrazą pozbawić się audytorium. Zaśmiał się więc z niejakim przymusem, usiadł, zamówił herbatę i powiedział:

— Oglądałem rzecz, której nie dacie wiary! Spotkałem przed godziną Bremera. Wrócił z zagranicy i przywiózł urządzenie, które zdumiewa swoją pomysłowością. Zaprosił mnie do siebie, do Grand Hotelu i pokazał aparat zwany elektrotachiskopem. Odtwarza on obrazki z życia wzięte — w ruchu, z budzącą podziw dokładnością. Widzimy więc na przykład psa biegnącego i poruszającego ogonem, i pyskiem, dżokeja przesadzającego barierę w wyciągniętym galopie, chłopców jadących na trycyklu, powiewających kapeluszami i klaskających w dłonie, człowieka zażywającego tabakę, poruszającego przy tym nosem ze zmieniają cym się wyrazem zadowolenia na twarzy itp. Obrazy te powstają przez zlanie się w jedną całość szybko przesuwanych przed okiem poszczególnych momentów ruchu utrwalonych na kliszach.

Wynalazcą owego elektrotachiskopu był niejaki Otmar Anszyc, którego nazwisko chyba dość trudno znaleźć w historii kinematografii. Wspomniany wyżej p. Bremer przywiózł ów przyrząd nie po to oczywiście, by nim zabawiać znajomych, a po prostu dla interesu. Dość długo demonstrował swoje ruchome obrazy w Grand Hotelu, a robił to być może w tej samej sali, w której przed pierwszą wojną był „Théatre Moderne", w czasie pierwszej wojny „Kino-Mirage", a później — Grand-Kino.

W roku 1900 pojawił się w Nowym Rynku pod nr 2, „w domu W-nego Leinvebera" bioskop. Współcześni twierdzili, że „obrazy rzucane na płótno wychodziły bardzo dobrze, bez drżenia i ruch był aż do złudzenia prawdziwy". Musiało to dawać niezły dochód, skoro w kilka miesięcy później, na tymże Nowym Rynku, o dwa domy dalej powstał „Najnowszy, ulepszony kinematograf, czyli żywe fotografie bez migania". Program przewidywał np. „Sceny z powieści Sienkiewicza „Quo Vadis" — „Zabójstwo Mac Kinleya", sceny z wojny chińskiej, „Co można zobaczyć z balkonu" oraz 70 innych wyborowych numerów. Krzesło kosztowało 20 kop., wejście — 10 kop., dzieci płaciły połowę.

Określenie: „kinematograf" było wtedy rzadkością. Używano raczej nazwy: „iluzjon". Ponieważ zaś poczęło ich przybywać coraz więcej, nie obeszło się bez odrębnych nazw określających poszczególne iluzjony. A więc, przy Piotrkowskiej 15 mieścił się „Théatre Optique Parisien". Przy Mikołajewskiej 40 (Sienkiewicza) — „Belle-vue". Kino przy Piotrkowskiej róg Zielonej odróżniało się dla odmiany nazwą angielską: „The Bio Expres". W 1908 roku na lat przeszło trzydzieści zawisł przy ul. Przejazd 2 szyld z nazwą: „Odeon", którą po drugiej wojnie zmieniono na „Gdynia".

Już wtedy urząd skarbowy zrozumiał, że iluzjon daje dochód, trzeba więc, by i skarb na tym zarobił. Z poglądem tym właściciele iluzjonów nie zawsze się zgadzali, co wiadomo choćby z faktu, że w roku 1908 opieczętowano „Belle-vue" oraz „Elektro-Biograf" (Piotrkowska 86) za sprzedaż biletów, których nie akceptował urząd skarbowy.

Aparaty ówczesne musiały strasznie migać, skoro reklamy poszczególnych kin z reguły podkreślają, że właśnie w danym kinie stosuje się nowoczesną metodę wyświetlania obrazów bez migania. Co więcej, około 1910 roku znane było w Polsce nazwisko Kazimierza Prószyńskiego, pracującego w Paryżu, który dokonał szeregu ulepszeń w dziedzinie sztuki filmowej. Jeśliby wierzyć ówczesnym relacjom niektóre z nich miały posmak sensacji i o ćwierć wieku wyprzedzały niektóre późniejsze osiągnięcia filmu. Podobno więc Prószyński skonstruował kamerę filmową, którą poruszał jakąś nieznaną nikomu siłą — nie było bowiem ani żadnych kabli, ani korby a filmował w odróżnieniu od innych operatorów — bez statywu, trzymając kamerę w ręku. Wynalazł poza tym przyrząd do **„łączenia zgodnego widoków z dźwiękiem"**. I wreszcie — skonstruował tzw. pleograf, czyli aparat projekcyjny, który całkowicie nie migał.

Pojawienie się w Łodzi tego rodzaju rozrywki, jaką było kino, przyjęto początkowo jako sensację i aprobowano. W miarę jednak rozwoju tej instytucji pojawili się jej przeciwnicy. Głównie dlatego, że w programach dopatrywano się pornografii. Na czym ona polegała? — Być może — kobietom tam występującym widać było — łydki powyżej kostek, może ktoś kogoś całował (stojąc!), może tańczono kankana. Iluzjon nie był wtedy sztuką. Był rozrywką i to niższego rzędu. Gawiedź i młodzież szukały rzeczy ciekawych i zapewne z góry aprobowały domieszkę pornografii. Elita intelektualna traktowała te sprawy z niesłychaną powagą. Sytuację narodu polskiego określano wtedy jako tragiczną — nie bez słuszności. Wołano więc o odrodzenie, a odrodzenie mogło nastąpić na takich pożywkach jak „Wesele", „Irydion", „Dziady". Jedynie więc teatr dramatyczny uznawano jako miejsce rozrywki i wychowania. Rozwój iluzjonów spowodował zawiązanie się w Łodzi Towarzystwa Etycznego „Czystość", którego głównym celem była walka z pornografią „sączącą się z ekranów". Że walki tej Towarzystwo nie wygrało, o tym wiemy. Była to jednak klęska na jednym froncie doznana przez potężniejącą grupkę patriotycznie nastrojonej inteligencji, która w warunkach ucisku zaborczego i gospodarczej przewagi elementu niepolskiego w Łodzi walczyła wtedy, jak umiała o polskość tego miasta.

Łódź roku 1913 znała następujące kina: „Odeon" (obecna „Gdynia") — demonstrował właśnie „Nędzników" w/g W. Hugo. Po drugiej stronie ulicy była „Lutonia". Na miejscu „Polonii" — „Casino", wyświetlające np. „Pocałunek Cyganki".

Kino „Splendid" poprzednik dzisiejszego „Bałtyku" powstało w latach dwudziestych.

Jeżeli felieton niniejszy ma stanowić króciuteńką historię łódzkiej kinematografii, to nie sposób pominąć w nim pewnego wydarzenia nieodłącznego od życia przedwojennej Łodzi. Mianowicie w roku 1936 zastrajkowali operatorzy kinowi. Tygodniówka operatora w kinie śródmiejskim wynosiła 70—80 zł. Natomiast operatorzy olbrzymiej większości kin drugorzędnych mieli po 20—30 zł tygodniowo. Toteż w dniu 1 października kina łódzkie nie mogły wyświetlać filmów wobec strajku operatorów. Ponieważ były to akurat dni świąt żydowskich, a więc dni zapewnionej frekwencji, niektóre kina jak „Casino", „Europa" i „Palace" przyjęły warunki stawiane przez operatorów i strajk zlikwidowano tam z miejsca. Inne postanowiły sprowadzić operatorów z Warszawy, a strajkujących zwolnić. W ten sposób uruchomiono „Rialto", „Grand-Kino" i „Corso". W pozostałych kinach to się nie udało, gdyż przezorni operatorzy zdemontowali aparaturę, a części ukryli. Strajk zakończył się 10 października zwycięstwem operatorów, którzy uzyskali podwyżkę o 20—30%.

Natomiast dawna, zupełnie niezmotoryzowana Łódź, w ogóle nie znała korków kinowych.

Tuwim zreferował temat powyższego felietonu krócej:

„Kiedy kino nazywało się
jeszcze „bioskop"
Albo „iluzjon",
Kiedy nosiłem czapkę
uczniowską,
wszystko było doprawdy
iluzją,
marzeniem i beztroską".

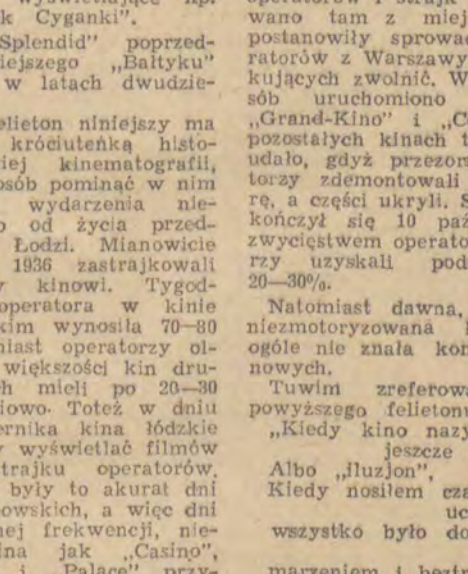

WIOSNA

ZENIT

Jerzy Waleńczyk

Dalszy ciąg ze str. 1

sko. Początkowo wszyscy myśleli, że czeka tu, na kobietę, bo mężczyzna może czekać na kobietę i wtedy nie słabnie, jeżeli chce ją zabrać ze sobą, albo może czeka na jakąś falę, bo fala może dorość, czekał jak mężczyzna, bo nie zachodził do niskiej zielonej budy z piwem i winskiem, a jednak coś ostrzegało przed nim wszystkich, którzy tędy przechodzili, bo każdy jak król kładł uszy na kamiennym trotuarze i ciągnął za sobą przed nim byle prędzej minąć, bo jak siedział tak, ten mężczyzna, od dziesiątej rano do piątej, a potem po upływie tygodnia i dłużej, do zachodu blasków ostatnich u pierwszych lamp ulicznych i głuchego dudnienia aut w dekle ruchome otworów kanalizacji i wesołego stukania dzieciarni w bloku.

Potrzebował, może miał jakiś płot wokół siebie, który otwierał mu się o niewiadomej godzinie, nie jednakowo, może mur miał na te kilka godzin, bo chwilką mu było chyba, a niepokoił się jak ktoś pewny, że rozważać tu nie ma co, bo był niezmienny, nawet coś bohaterskiego emanowało z niego, a trochę był jak człowiek z wyżyn, podgórza, w nagłej, koniecznej dolinie.

Ale to miasto leży na zwykłej płaszczyźnie, więc mógł tu przybyć, ale nie jak lump, i nie jak na skrzydłach, ale jak uważny mężczyzna, do tej doliny między starymi kamienicami i blokiem świeżo tynkowanym białawym. Tak siedział cały tydzień i to było chyba jak na tę pogodę najbardziej wymagające, skraj-

ne. Pożytek z tego czekania mógł mu podpowiedzieć, aby cały ten czas trzymał się prosto, kiedy spacerował, z nieuszkodzonym aparatem gotowości, niewzruszony, kiedy inni ludzie polerowali sobie garnki i różne gwiazdy błyskały dźwięcznie, on wtedy odchodził.

Tylko po południu hałas dzieciaków i młodzież tocząca się tędy wypróbowywała jego nerwy. Naprawdę to miał minę pełną nadziei ufnej, że ten problem, tę Troję, jak drobnostkę rozwiąże. Nie trząsł się z zimna, ani tu na ławce aklimatyzował, nie popadał też w żaden trans, kiedy miasto rysowało na tafli dnia wyraźnie swoje narzędzia, przylatywał wieczór i brzmiał głośno.

Czasem jak ktoś, kto chce by coś przebudować patrzał, jak ktoś kto wagę przywiązuje do wiadomości, która idzie żadną znaną dotychczas drogą, a wynajmuje sobie jakąś ŚWIĄTYNIĘ PRÓBY, jak by był bogiem małym jakiś czas.

Ten tydzień to była sympatyczna pora, to były korzenie czyjegoś zwycięstwa i czyjejś słabości, chociaż czas gorączkował się trochę ciemnymi barwami, i w zasięgu tego mężczyzny robiło się bagnisto i gołębie na dachach siadały konwersując jak to gołębie, a on nie prosił, i nie był oświecany przez słońce, nie cierpiał, znikał w godzinach popołudniowych, pożywić się, a dzieci tutejsze mówiły, że on pilnuje placu, ludzie, że to jakiś cierpiący widocznie, ale widać było, że podporządkowany jest silnym zasadom, kiedy wstawał, i ulica omijała go, brzegiem.

Ludzie z bloku to chyba nie byli zadowoleni i chyba nie dawali aprobaty temu czekaniu, bo tamten trochę czekał jakby ich stary kolega, a czasem jak zupełnie stary kolega, który chciał coś wyrównać, coś powiedzieć, ale bądź nie ogarniał ludzi, jak to zwykle trudno ogarnąć ludzi, ale na pewno był mężczyzną i nie przyszedł tu handlować. To żadna wygoda siedzieć tak na zimnie cały tydzień i ludzie z bloku to chyba doceniali, bo czuli zimno sami przez szczeliny, przez ściany, bo zimno już stawało się powszechne, zmarszczone niebo decydowało o cieplejszym ubraniu, bo przechodniów ogarniało ramieniem chłodu, a tam, w kręgu asfaltowym, wykrojonym z trawnika było chyba jak na dachu, tuż obok komina, i rano tylko małe jamniki goniły się, wskakiwały na siebie, przewracały, złościły i cierpliwie sobie dogadzały.

Mężczyzna nie miał w sobie nic z kota. Ramiona, nogi, głowę miał podporządkowaną jakiemuś centralnemu punktowi i chyba tylko to było z kota.

Ranne i popołudniowe katarkty ludzi rzucały swoje codzienne argumenty kłopotów i próbowały go odwołać z tej ławki wszechmogącej zapewne w oczach niektórych.

Kiedy wstawał, rozszerzał się, stał mocno, z podstawą asfaltu na którym kałuża już wyschła, bo kiedy padało, to ocieniała asfalt. Nikt nie siadał w jego sąsiedztwie, bo ludzie przecież nie są nieustraszeni, a ten patrzał chwilami, jakby chciał zniszczyć cały blok i ludzie choć o tym nie piszą w gazetach bledli, chyba nie jak ci, co dmą w trąby własnej dumy.

Do zwyczaju już należało odsuwanie ostrożne firanki i sprawdzanie czy on tam stoi. Trzeba to było robić tak, żeby nikt z domowników nie zauważył, bo głupio byłoby powiedzieć, że jakiś człowiek z brzegu asfaltowego staje się nieznośny, budzi jesień i kiedy wstaje rozgląda się i nie jest bezbronny. A ciągle od nowa, w zdumieniu, trzeba było patrzeć na niego i chociaż był tam, był już w każdym mieszkaniu.

Ludzie nie potrafili powiedzieć, ale dla adoracji nie oczekiwali go, jeżeli oczekiwali niektórzy. Słabli, to było pewne.

Tak zaczynała się podróż tych kilkunastu kroków z ich pewności siebie do słabości, bo tamten mężczyzna nie był w tej swojej dolinie między kamienicami niepewny, a dwa razy to nawet odwrócił się tak sprężyście, że nawet ci przechodnie przed budką z jarzynami i owocami obsuniętą w miękki grunt podwórka, na której czarna papa dachu posypana zeschłym piaskiem, niepokoili się niewidzialnie i dodawali dwa kroki do zwykłego jednego kroku.

Mężczyzna to oceniał i nie odwracał się w ich stronę. Nikt jednak nie wiedział, co chce powiedzieć, czy ma coś przeciwko tym ludziom, czy to jest drobnostka, czy trybut do spłacenia, czy sympatia dla tych asfaltowych płyt.

Jeżeli nawet to było coś z tego, to na to, co ludzie zwykle nazywają zaufaniem nie było miejsca, bo flancowanie tej rośliny to wiosenna robota, a lekcje rozciągały się normalnie i miejscowa szkoła nie mogła tego dokonać.

Byli tacy co go brali za jakiś znak, jak to zwykle u ludzi kiedy tylko niebo zaczyna poruszać się szybciej niż w śnie, zaraz wąchają dym z komina, a wchodzą na dach niby za gołębiami, albo antenę poprawiać, a tylko nosy wyciągają jak pachnie ten dym, co go wiatr szarpie, jakby miał do niego pretensję.

Do tych niestety, muszę to poważnie powiedzieć, skłaniał się od pewnego czasu, ale nie pod wpływem impulsów wiatru, jeden z lokatorów, nie standardowy, bo wyszedł na dół kiedyś z wieszakiem uczepionym z tyłu na pasku zielonego płaszcza i było jasne jak gwiazda Wenus najwcześniejsza, że ten wieszak robi jakąś wiosnę, chociaż jeden zaraz zaczął się za nim oglądać i wołać: „Halo, panie, panie".

Ten lokator początkowo myślał, że nie do niego, tak wyszedł sam dla siebie, a potem zdumiał się, zachwiał i zaraz odczepił ten wieszak od paska i wrócił trzęsąc się trochę, nawet nie powiedział dziękuję tamtemu, może nie zebrał tego dziękuję w sobie, może mu się rozsypało, a surowy lokator to nie był.

Czasem chodził jak prorok tej dzielnicy, osobliwie, jakby w jakąś tanią obietnicę nie chciał się zsunąć.

Z tą dziękczynnością to nie było kolorowo. Może dlatego że ledwie zdążył wyschnąć, bo jak mówili niektórzy, od alkoholu był cały mokry przez całe noce. Wypił co miał wypić, a niektórzy to nawet byli niezadowoleni, że nie pił więcej. Ale to był brzeg i oddalał się teraz i dzielił ten brzeg na dźwięczne godziny i ciemne godziny.

A w zachowaniu tego, tam na dole, czekającego nie było znać śladów alkoholu. Młode dziewczyny tej dzielnicy przechodząc czuły, że tam w środku tego mężczyzny dzieje się coś, że gdyby się porządnie ogolił, ubrał, co można by wymagać od niego, sadząc z jego zachowania, mogłyby jeszcze zawyć z zachwytu. Ale to uporczywe czuwanie rzucało na niego jakiś dziki, zdumiewający cień, jakby jakiś wielki oset rósł tuż za jego ławką, na której siedział.

I tak tworzyła się dookoła niego pustka i już kobiety u fryzjera o nim myślały i plotkowały i przed piekarzem też zastanawiano się kiedy zniknie, a on chwilami zaczynał się szamotać w alejce jakby wstydził się wyjść, a niektórym wydawało się, że po zapaleniu lamp, tych ulicznych ołtarzy, siedział ciemny obrysowany linią wiatru, uważnie, nie mniejszy jednak niż w południe i nie mniejszy niż zaraz po zachodzie słońca.

To czuwanie teraz nie wydawało się takie pospolite jak kiedy dzieci biegły na ukos przez trawnik, i wszyscy zaczęli oczekiwać go rano, ci, którzy zostawali w domu, na jakieś wydarzenie.

Ludzie naprawdę zaczęli się niepokoić, bać się jakiegoś nieszczęścia, mimo że ten mężczyzna, którego rysów twarzy nie potrafiliby określić tylko był, nie zmieniając pozycji, trwają w centrum czegoś, co było większe od niego, co się tutaj działo. W każdym razie niektórzy ulegli takiemu złudzeniu i to było kosztowne, bo w oczach tych z którymi mieszkali głupio w tym zatknięciu się, zakorkowanym, wyglądali.

Kiedy już wszyscy byli zgodni, że tu nie chodzi o jakiegoś drania ani żadne drobne porachunki, ani żadne zabiegi wychowywania cymbałów jak mają chodzić alejką asfaltową, ani sprawdzanie swojej odwagi wobec kogoś, chociaż to było podobne do tego, w siódmym dniu, kiedy już wszystkim płakać się chciało z wściekłości, mężczyzna jakby miał jakąś wątpliwość, siódmego dnia zatrzymał kilka dziewczyn wracających ze szkoły pytając się je o nie wiadomo co. To były takie szesnastoletnie dziewczyny. Było ich pięć. Cztery odsunęły się przezornie, a jedna którą pytał wysunęła się w jego kierunku, dostatecznie blisko, żeby te głowy z okien, ze sklepów, z klatek schodowych, zza firanek, z góry gdzie wieszali bieliznę, widiały, że ta dziewczyna miała na sobie różowo-fioletowy płaszcz. To było oczywiste w jego oczekiwaniu, ten różowo-fioletowy płaszcz.

Następnego, ósmego dnia mężczyzna się nie pojawił i nie pojawił się już nigdy. Tylko w oddali w powietrzu wyraźnie

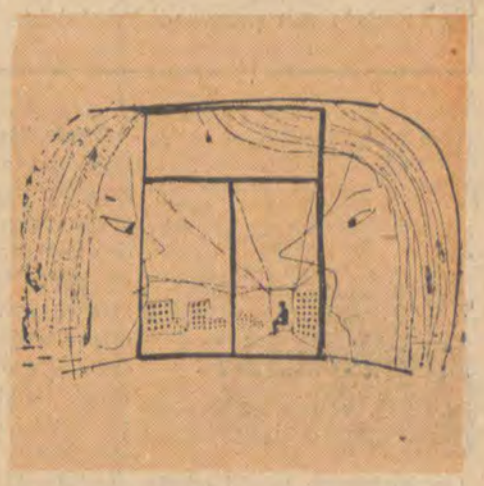

pojawiły się nad dzielnicą latawce różowo-fioletowe i wszyscy je widzieli jak płonęły coraz wyżej i wyżej, jakby wszyscy chłopcy dobrze wiedzieli, że właśnie teraz różowo-fioletowe latawce najlepiej kwitną i wszyscy wiedzieli dlaczego te latawce są różowo-fioletowe, ale milczeli, bo głupio byłoby mówić, że dojrzały, poważny mężczyzna stracił tydzień czasu, aby wybrać barwę dla łobuziaków dzielnicy, barwę różowo-fioletową na latawce i że to jest heroiczne i zyskał sobie zaufanie wszystkich, kiedy latawce stały wysoko, mimo że owiewane północnym, najmilszym z wiatrów, w zenicie.

Tylko ten lokator, o którym mówili, że był niegdyś cały mokry od alkoholu gorzko zapłakał, za firanką. Ale tego już nikt nie widział.

HENRYK HARTENBERG

Wyznanie

O nie
Ciebie nie ma
Ciebie nigdy nie było
Jest tylko linia myśli
Drzemiące obrazy
Jest tylko strumień wiatru
Przenikający czas
Zastygły w pragnieniach,
Jest tylko oddech który trwa
Pod nieboskłonem
— — — — —
O nie
Ciebie nigdy nie było
Były tylko ślady dłoni
W szczelinach moich snów.

Obraz świata

Rozkołysałaś
Wszystkie wiatry świata
I te
Ukryte w głębi rozpalonej ziemi
I te
Drzemiące w sercu białych rzek
I te
Wplątane w nasze dni
Rozkołysałaś
Wszystkie wiatry świata
Lecz ja
Schroniłem się w niepokój
Dojrzewających we mnie słów.

JÓZEF HENRYK WIŚNIEWSKI

Leśmian

Raz naszym czasom
Leśmian przyśnił się
— maleńki
w łuskach lśnień
mówią — umarł
a on żyje
w lesie
rośnie zielony
w kniei ludnej
od ludzieńków
natchnionych
jest tam bogiem
żuków i drewna
wczoraj
przez jego wiersze
szedłem
jakbym pieszo
szedł
przez sny
a dziś Leśmian rośnie
w lesie
bo czym byłby las
bez Leśmiana...
czasem w skwarne południe
duch Leśmiana
z nagrzanym powietrzem
unosi się
w chruśniakach
pachnących maliną
wieczorem kuleje do lasa
z chromą dziewczyną
— jego oczy
— można widzieć
nocą
na bagnach
głos jego chodzi
między nami cichcem
i we snach
czasem echo odbite
od liści
po wądołach i jarach
nie głos
samo echo
o Leś
-mian
o-msza-ły
we mchach
ru-mian-kach
żu-kach
ze snu
-mian
ru
-kach
o Leś-
Leś-
-Leś
o mian
las
snów naszych
o Leś-
las

ŻEROMSKI

Jak odbieramy dzisiaj Żeromskiego? A jak przeżywaliśmy utwory tego pisarza za naszej młodości? Zwróciliśmy się z powyższymi pytaniami do uczniów Liceum im. Stefana Żeromskiego w Kielcach. Do uczniów tej szkoły, która została upamiętniona w „Syzyfowych pracach". Na tym polega „inność" naszej ankiety od podobnych, drukowanych w naszej prasie literackiej, że zwróciliśmy się do samego źródła: do uczniów szkoły, w której kult Żeromskiego należy do tradycji i należy niejako do regulaminu szkolnego. Zwróciliśmy się także o wypowiedzi do przedstawicieli starszego pokolenia, do tych, którzy w okresie swojej młodości byli związani z Ziemią Kielecką. Jedyny „nie-kielczanin" — Waldemar Babinicz. Ale sądzimy, że dwadzieścia lat „wójtowania" w Uniwersytecie Ludowym w Rożnicy nadało mu prawa obywatelskie tej Ziemi.

Jan Koprowski:

Dzieło literackie po śmierci jego autora wiedzie żywot zmienny. Są okresy dla tego dzieła przychylne, kiedy jest ono czytane, adorowane, kiedy budzi żywy oddźwięk w sercach czytelników i umysłach krytyków, i są okresy dużej dla danego dzieła niechęci. Ostatnie lata były dla twórczości autora „Ludzi bez domnych" raczej niekorzystne. Zwłaszcza wśród młodego pokolenia czytelników dzieło Żeromskiego wywołuje pewien sprzeciw. Wypowiedzi młodych polonistów na łamach „Kultury" są tylko drobnym fragmentem przejawów owego krytycyzmu. Ale głosy te dowodzą zarazem, że twórczość Żeromskiego stanowi wciąż źródła pewnego niepokoju. Niezgoda na jego bohaterów, niepogodzenie się z jego wizją życia, nie oznaczają obojętnego wobec nich stosunku. Dzieło Żeromskiego żyje nie tylko z aprobaty, żyje również z niechęci, z polemiki, jaką wywołuje. Adolf Dygasiński, pisarz przecież znakomity, od dawna już otoczony jest obojętnością. Nikt o nim nie pisze, dzieło jego nie budzi żadnych sporów. Inaczej z Żeromskim. Ciągle do niego powracamy, swarząc się z nim i dyskutując.

Dla mojego pokolenia Żeromski był głównym pisarzem polskim. Znaczył więcej niż Sienkiewicz. Więcej nawet niż Prus. Dla mnie osobiście, jako człowieka pochodzącego „z ziemi Żeromskiego", kult dla tego pisarza wzmagała znajomość miejsc z nim związanych, które znałem od dziecka, o których się mówiło, które weszły na trwałe do mojej biografii. Ze wszystkich książek Żeromskiego najbardziej lubię „Syzyfowe prace". Była to książka mojej młodości. Wracam do niej chętnie, „Syzyfowe prace", w przeciwieństwie do innych utworów pisarza, nigdy mnie nie drażniły. Nadmierna uczuciowość, ekshibicjonizm wielu postaci Żeromskiego muszą wydać się, zwłaszcza dziś, obce. Ale pozostaje w jego dziele coś, co jest niezniszczalne: gorące umiłowanie życia i człowieka. Chociaż brzmi to banalnie, przecież nie przestaje być prawdą.

Waldemar Babinicz:

Dla tych, którzy przychodzą do Uniwersytetu Ludowego, Żeromski jest ciągle żywy. Uczą się z własnej woli tekstów na pamięć i pięknie recytują olbrzymie fragmenty prozy. Chętnie przerzucają się w rozmowach prywatnych całymi okresami. Wprowadzają do UL atmosferę „Przepióreczki", unowocześniają „Syzyfowe prace", inscenizują rokrocznie, zawsze ciekawie, świeżo, scenę spod rozdartej sosny i licytują się w czynach społecznych, aby prześcignąć Judyma. Ich rodzice zresztą (np. chłopi z Dobrej, wsi pod Staszowem) ciągle żyją Żeromskim, znają na pamięć „Nagi bruk", który z pięknym patosem deklamują na wieczorkach świetlicowych. Lubią „Echa leśne", „Wierną rzekę" niechętnie sięgają po trylogię, zwłaszcza „Charitas", dziwią się po trosze Czarusiowi, że „za miękki, chociaż miał twardą szkołę", pytają z niedowierzaniem „Czyżby rzeczywiście „Dzieje grzechu" mogły uchodzić za amoralną książkę? Śmieszne". Popłakują nad Rozłuckim i Stasią, entuzjazmują się „Snobizmem i postępem". W Roku Jubileuszowym robią wszystko, aby ich krewni i przyjaciele przeczytali przynajmniej pięć książek Żeromskiego, ubiegają się o odznakę czytelniczą Jego imienia. Chwalą Kruczkowskiego, że dopisał ostatni akt „Grzechu". Ubolewają, że Żeromski nie otrzymał nagrody Nobla, z własnej inicjatywy starają się przekonać cudzoziemców, aby domagali się w swoich krajach tłumaczenia dzieł Żeromskiego. Nie tak dawno układali memoriał, aby stworzyć Fundusz Literatury im. Żeromskiego.

Młodzież literacka? „Żeromski to pisarz jednej epoki, dwóch, najwyżej trzech pokoleń. Szlachetny, zapewne, ale dziś?... Owszem, język piękny, miejscami udziwniony. Czy mamy naśladować, brać wzór? No, wie pan. To znaczy wysilać się na model „ogary poszły w las". Przestarzały. Owszem, bardzo ładne opisy przyrody. Dobrze znał Kielecczyznę. Chyba nie gorzej od nas. Dobre są neologizmy „babina, kobiecina, chuścina". Dziś trącą myszką, podobnie jak „Słowo o bandosie". Co z niego brać na dzisiaj? Słowo daję, nie wiem".

Od siebie:

Nie wyobrażam sobie Kielecczyzny bez Żeromskiego. Osiągnięcia wychowawcze zawdzięczam przede wszystkim Stefanowi Żeromskiemu. Również wyniki w dziedzinie wychowania estetycznego, które są znaczne.

Jan Maria Gisges:

To było już tak dawno, że prawie wydaje się nieprawdą. Bo cóż można napisać o młodzieńczych poglądach i przeżyciach po latach trzydziestu i więcej? Uratowane w pamięci strzępy, które usiłuję teraz pozestawiać i posklejać, tworzą w gruncie rzeczy poszarpaną mozaikę historii młodocianego kieleckiego bytowania. I co opowiedzieć o pierwszych moich spotkaniach z książką Stefana Żeromskiego, z jego śladami w mieście, śladami, które pozostawili jego rodzice w okolicy, i on sam w pamięci ludzkiej? Ze smutkiem muszę się przyznać, że tego pierwszego spotkania nie pamiętam. Być może, że wyobraźnię i pamięć wyrostka bardziej zajęła historia młodzieńczego sentymentu pisarza do Ludwini, aniżeli jego dzieło, być może silniej działało na wyobraźnię życie wielkiego twórcy, o którym opowiadano sobie przedziwne historie, domy i ulice, gimnazjum, do którego uczęszczał, obok którego przechodziło się codziennie idąc do „budy", aniżeli losy ludzi, o których pisał.

To dopiero potem, już w latach przedmaturalnych sięgnąłem po książki Żeromskiego, szukając w nich innych treści, niż anegdota i przydługie liryczne opisy przyrody, którą przecież rozumiało się inaczej, czytało i przeżywało inaczej aniżeli autor „Puszczy Jodłowej". Odbiegałem tym od ogromnej większości moich kolegów, że lubiłem włóczęgę i las. Należąc do uczniów z kręgu biedniejszych nie podróżowałem inaczej, niż piechotą. I dlatego może tak dokładnie przepatrzyłem lasy podkieleckie, Puszczę Świętokrzyską, że umiem je po dziś, z ich śladami walk, potyczek, krzyżami i grobami tych, co tu ginęli w 1863 i 1914 roku. I gdzieś pośród leśnych mogił, na duktach puszczańskich spotykałem się z Żeromskim. Dla niego to wszystko, kiedy tam przebywał, było życiem, czymś żywym, dla mnie zapisaną kartą historii, której trzeba się było uczyć na pamięć.

Tak jak sobie przypominam, nie tylko ja spośród uczniów nie lubiłem książek Żeromskiego, złościłem się na jego bohaterów, gniewał mnie symbolizm, który wmawiała nam ówczesna nauka, nasi profesorowie. Przecież i zadanie maturalne pisałem o Żeromskim, ale pisanie to nie wypływało z miłości, może raczej z buntu; czy ja wiem? Nie pamiętam. A kłamać nie chcę.

Jedno jest niewątpliwe: Żeromski pomimo wszystko zajmował nas bardziej, aniżeli którykolwiek z innych pisarzy, Orzeszkowa, Prus, Wyspiański, więcej o nim się mówiło, chrzciło się przyjaciół imionami jego bohaterów, więcej się dyskutowało, i jednak spore kawały jego trudnej prozy uczyło się na pamięć.

Jak wytłumaczyć te sprzeczności? Jak to się działo, że nie lubiany pisarz zmuszał do nieobojętności, do sporu, do tego, że pamięć notowała trudne opisy z „Popiołów" czy „Syzyfowych prac"?

Jeżeli można poddać analizie strzępy zapamiętanych młodzieńczych rozważań, i jeżeli wolno wyciągnąć z nich wnioski, powiedziałbym, że dwa zasadnicze elementy trzeba by wyodrębnić: po pierwsze — nasz uczuciowy stosunek do tego człowieka pochodzącego z naszej ziemi, który jak i my był sztubakiem w naszym mieście, gdzie starzy pamiętający Żeromskiego ludzie odnosili się do niego ze czcią najwyższą. I ten nieco przyciszony czyjś głos w biedermeierowskim salonie, gdzie wisiały pożółkłe i pociemniałe konterfekty przodków, zacnych adwokatów, lekarzy i ziemian, gdzie pachniało kurzem, suszonym zielem i mydłem świeżo wypranej bielizny, ten głos o nim napawał dumą: rozmawiałem z kimś, słuchałem kogoś, kto go pamiętał z lat kieleckich.

Po wtóre zaś utopijny program pisarza wywoływał nasz sprzeciw, nie zgadzaliśmy się na takie rozwiązywanie losów ludzkich, gdzie bohaterowie dla dobra społecznego musieli rezygnować z osobistego szczęścia. Drapieżne i tragiczne obrazy krzywdy wstrząsały młodą wyobraźnią, ale i budziły strach a nawet niesmak. I to odstręczało od książek, chociaż z drugiej strony kazało je konfrontować z dookolną rzeczywistością, ze światem przez moje pokolenie zastanym, a który przecież nie był światem Żeromskiego. Znałem doktora Starkiewicza, który nie zrezygnował z Joasi, a więc Judym był kimś obcym dla mnie, nieprawdziwym portretem; szukałem po swojej ziemi Smętka przejęty „Wiatrem od morza", ale tego przewrotnego diabła nie znalazłem, był kim innym i inne miał oblicze; patrzyłem na strajki daleszyckich chłopów, na ich przyjście pod kieleckie starostwo, i widziałem „marsz na Belweder".

Poszedłem w życie. Ciężkie i niezwyczajne. I muszę przyznać, że ten wielki pisarz po tylu latach nadal pozostał we mnie takim, jakim go poznałem, będąc chłopięciem, jakim go niegdyś odczytałem: pełnym antynomii, niezgodności i sprzeczności wewnętrznych. Ale czy nie na tym polega jego wielkość i jego jakże prawdziwie ludzkie rozdarcie?

NIEDOJRZAŁOŚĆ POGLĄDÓW

Przeczytałem kilka utworów Stefana Żeromskiego, ale większość z konieczności (lektury szkolne). Niektóre, owszem, nawet ciekawe, ale większość nudna. Interesujące są ze względu na piękny język i wartości artystyczne. Z nieznajomości stosunków kapitalistycznych wynika niedojrzałość poglądów Żeromskiego, która razi czytelnika.

CZĘSTO JEDNAK NIE MOGĘ ZGODZIĆ SIĘ Z JEGO ZDANIEM

... Często jednak nie mogę zgodzić się z jego zdaniem. Uważam, że jest w swych zapatrywaniach zbyt pesymistyczny. Z drugiej strony potrafi zdobyć się na chwile niepowtarzalnego, jedynego w swoim rodzaju humoru.

Często nie zgadzam się z ideologią Żeromskiego, niemniej jednak jego stosunek do przedstawionych ludzi, do ubogich, mas pracujących, krytyka społeczeństwa kapitalistycznego w Polsce, każe mi b. wysoko ocenić twórczość tego pisarza.

I TAK I NIE

Cenię Żeromskiego za humanitarny stosunek do ludzi, głównie ludzi ciemiężonych, za protest przeciwko ich nędzy, krzywdom, za występowanie przeciwko bezprawiu.

Odpowiada mi to, że Żeromski jest realistą, że tematykę swą czerpał z rzeczywistości, że utwory odtwarzają główne problemy najbardziej aktualne, współczesne sobie. Denerwuje mnie niezdecydowanie, chwiejność postawy ideologicznej, co sugeruje opoteozę próżniaczego życia szlachty i burżuazji, apoteozę i uwielbienie dla rozkoszy cywilizacji szlacheckiej. Uważam, że postawa Żeromskiego, nie odbiegająca daleko od sarmackiego światopoglądu i ścisły związek z klasą, z której pochodził, były przyczyną niemożności znalezienia właściwej drogi dla rozwiązania palących spraw, konfliktów społecznych w kapitalistycznej rzeczywistości.

Uderza mnie niekonsekwencja tego pisarza, nieumiejętność wyciągania właściwych wniosków z obserwacji otaczającego życia. Czuję obrzydzenie do Żeromskiego za erotomanię, za lubowanie się w scenach przepełnionych erotyzmem, w wulgaryzowaniu miłości. Muszę zaznaczyć, że purytanką nie jestem. Uważam, że Żeromski pisze pięknym językiem i czystą polszczyzną, co jest jego wielkim plusem.

Lubię Żeromskiego za jego wielką miłość do przyrody ojczystej, za uwielbianie piękna krajobrazu i przyrody świętokrzyskiej.

OGÓLNIE TWÓRCZOŚĆ PODOBA MI SIĘ POZA PEWNYMI ZASTRZEŻENIAMI

Poznałem wiele utworów Żeromskiego. Ogólnie twórczość podoba mi się poza pewnymi zastrzeżeniami. Niektóre czytałem z konieczności ponieważ były lekturą. Szczególnie nie podoba mi się „Przedwiośnie", a z „Ludzi bezdomnych" nie podoba mi się postawa bohatera utworu dr Judyma. Niektóre były nudne, jak wiele opowiadań i szkiców. Podoba mi się język Żeromskiego, jest komunikatywny, zrozumiały, utwory zawierają wielkie wartości artystyczne. Może decydującym czynnikiem, który wpływał na mój pozytywny stosunek do twórczości tego pisarza, jest postawa altruistyczna w odniesieniu do mas, których ciężki żywot nakreślili w plastyczny sposób w wielu utworach. Złą postawę niektórych bohaterów wybaczam Żeromskiemu, gdyż nie znał on dokładnie pewnych procesów zasadniczych ustroju kapitalistycznego, nie widział sposobów polepszenia smutnej rzeczywistości polskiej.

ŻEROMSKI

Jest mi bliski. Nie chodzi mi w tej chwili o jego poglądy polityczne. To co najbardziej cenię u wszystkich pisarzy to stosunek do człowieka. Żeromski jest mistrzem we wnikaniu do dusz ludzkich. Dzisiejszemu człowiekowi przydają się jego słowa. Zapomnieliśmy widzieć w otaczającym świecie nieszczęście ludzkie — nieszczęście osobiste. Brak nam delikatności. Zapominamy o tym co w nas i w innych najbardziej ludzkie. Współczucie tego człowieka (Żeromskiego) jest tak wielkie i tak pełne miłości, że wywołuje niemal wyrzuty sumienia, a nieraz jakiś dziwny ucisk w gardle.

ZNAK RÓWNANIA MIĘDZY TWÓRCZOŚCIĄ A PESYMIZMEM

Książki Żeromskiego nie tylko nie przemawiają do mnie, ale także napawają mnie wstrętem do świata, do ludzi, do życia. Zawsze po przeczytaniu Jego książki, wstaję przybita, niezadowolona, zbuntowana przeciwko rzeczywistości. Czuję wtedy, że moje życie nie ma sensu, że moje obowiązki mogą mnie wcale nie obowiązywać, podobnie jak Czarusia w Baku, kiedy to pod wpływem rewolucyjnego odprężenia zrezygnował zupełnie z dalszej nauki i razem z moimi kolegami wałęsał się po mieście uczestnicząc czynnie we wszystkich awanturach, jakie miały miejsce w Baku. Między twórczością Żeromskiego a pesymizmem można postawić znak równania. Mimo że przeczytałam prawie wszystkie książki Żeromskiego, nie znalazłam bohatera, który mógł być wzorem (oprócz Krzysztofa Cedry). Nie szukałam wcale człowieka-ideału, nie, po prostu szukałam człowieka dobrego. Nie wątpię, że w książkach Żeromskiego występują ludzie wartościowi, pełni poświęceń, ale to według mnie jest równoznaczne z dobrocią, wyrozumiałością, zdolnością do przebaczeń. Żeromski nauczył mnie pesymistycznego poglądu na świat, beznadziejności poświęceń, ale nauczył także jak patrzeć na przyrodę. Bo ona w utworach Żeromskiego odtworzona jest cudownie.

Maria KORNATOWSKA

Dlaczego lubimy SZERYFA?

Sztuce filmowej stuknie wkrótce siedemdziesiątka. Nie tak to oczywiście dużo w porównaniu z mocno już podtatusiałym wiekiem innych muz. Mimo to, najmłodsza z siostrzyc Apollina, pobiła na głowę swe leciwe siostry zarówno jeśli chodzi o rozmach twórczy, jak i inwencję. 70 lat historii kina mieści w sobie stulecia istnienia innych sztuk. Film stworzył swą własną mitologię czy też ściślej mówiąc mitologię XX wieku. Czerpiąc często soki z literatury lub tradycji sztuki plebejskiej zbudował własny świat postaci, legend i konwencji. Świat, który bez wątpienia określa świadomość współczesnego człowieka, w stopniu chyba znacznie silniejszym niż literatura.

Jednym z gatunków filmowych, który nie tylko urósł do rangi epo su narodowego, ale i w dużej mierze przyczynił się do ukształtowania współczesnej mitologii jest z całą pewnością western. Western — saga amerykańskiej prerii — podbił świat. Krytycy widzą w nim najpełniejsze ucieleśnienie ideału kina. Western jest bowiem poematem ruchu i przestrzeni — tych dwóch współrzędnych prawdziwego kina. A czego szuka w nim publiczność poza wcale niemałą porcją strzelaniny, bójek, pogoni i innych dynamiczno-sensacyjnych emocji? Dlaczego Europejczycy, którzy nigdy w życiu nie widzieli i chyba nigdy nie ujrzą na oczy ani prawdziwego cowboya, ani prawdziwego Indianina, tak lubią te cudowne opowieści o rycerzach złotych coltów.

Westerny rzeczywiście przypominają średniowieczną epikę rycerską. Podobnie jak ta ostatnia, idealizuje pewien okres historyczny, szczególnie nasycony brutalnością i okrucieństwem. Poetyka westernu jest poetyką ludowej ballady, byliny opiewającej nieśmiertelne czyny bojowników bez lęku i skazy. Podkreśla to w wielu filmach akompaniament śpiewanej ballady (np. „Miasto bezprawia" czy „ W samo południe"). Bohaterowie westernów przywodzą na myśl niezapomniane postacie nieustraszonych Rolandów rażących armię przeciwników niechybnym w boju Durandalem, błędnych rycerzy wędrujących w poszukiwaniu św. Graala, szlachetnych obrońców sprawiedliwości i niewinności. A że średniowieczne zamki ustąpiły miejsca salonom, druciane koszulki — farmerom, z damasceńskiej stali kute miecze — coltom — to już tylko, jak zwykł mawiać Wiech — nic nie znacząca szczegóła. Mit tego typu bohatera tkwi chyba b. głęboko w świadomości czy też podświadomości człowieka. Mit kompensujący wszystkie wrodzone mu przywary i słabości. Film z o wiele większą siłą niż mogła to uczynić literatura mówiona lub pisana, potrafi przekazać urzekającą doskonałość fizyczną i psychiczną bohaterów, tworząc nawet pewien określony typ fizyczny (Henry Fonda, John Wayne, James Stewart, Kirk Douglas i inn.) sugerujący niemal automatycznie istnienie pewnych cech charakteru i osobowości. Jest to zresztą doskonałość odpowiadająca kryteriom jak najbardziej współczesnym — precyzja, stanowczość, szybkość decyzji i refleksu, dynamizm i harmonia. Z drugiej strony, jądro mitu pozostało bez zmiany — ideał szlachetnej męskości, duszy czystej, naiwnej, prostej, słowem niemal dziecięcej. Zawartość intelektualna cowboya czy gunmana nie dorównuje zawartości jego ładownicy. Dopiero ostatnie lata przyniosły pod tym względem wyraźną odmianę. Dusze bohaterów skomplikowały się, pobudki ich czynów stały się należycie mgliste i pogmatwane. Szlachetny kruszec czystych uczuć przyprawiono domieszką egzystencjalizmu i relatywizmu. Zrodzili się pierwsi antybohaterowie antywesternów. Klasyczny western operuje jednak jednoznacznym podziałem na postaci złe i dobre, tudzież pewnym ograniczonym zasobem schematów sytuacyjnych. Zli godzą w prawo utożsamiane ze sprawiedliwością, są zarzewiem nieszczęść, krzywd i chaosu. Szlachetni najczęściej szeryfowie — bronią ładu oraz słabych i pokrzywdzonych. Po wielu burzliwych perypetiach zwycięża niezawodnie porządek i sprawiedliwość. Elementy podobnej mitologii istnieją w epice ludowej każdego niemal kraju (Janosik, Mandrin, itd). Dlatego może, mimo pozornej egzotyki, westerny są nam w gruncie rzeczy bliskie i odpowiadają pewnemu powszechnemu zapotrzebowaniu. Ale Janosik, czy Mandrin byli w istocie burzycielami prawa i rzecznikami „prawdziwej sprawiedliwości i interesów ludu". W westernie, przynajmniej klasycznym, nie ma konfliktu między prawem a sprawiedliwością, między władzą a interesami ludu. Samotność szeryfa jest samotnością buntownika, ale tym razem nie przeciw wojsku, policji, porządkowi lecz właśnie przeciw bezprawiu i chaosowi. Tradycyjny schemat uległ więc odwróceniu. Szeryf narzuca własną sprawiedliwość tak jak Janosik lub Mandrin. Ale ta sprawiedliwość okazuje się prawem. Western jest bowiem sagą początków państwa, narodzin ładu, a nie jak legendy europejskie wyrazem buntu przeciw istniejącej władzy. Optymistyczny i apologetyczny charakter westernu tworzy osobliwy kontrapunkt z czarnym pesymizmem i aspołecznym anarchizmem literatu ry amerykańskiej. To jakby 2 oblicza Ameryki odbite w jednym zwierciadle.

Ale magiczny urok westernu nie sprowadza się jedynie do pokrzepiania, nadwątlonych codziennym obcowaniem z brutalną rzeczywistością serc, opowieściami o triumfie sprawiedliwości i dobra. W czasach stopniowej uniformizacji ludzi, zacierania się indywidualności, ograniczenia możliwości działania jednostki, „końska opera" przynosi echo wielkiej męskiej przygody, gdzie wszystko zależy wyłącznie od odwagi i zręczności jednostki, od siły woli i charakteru. Na westernie czujemy się nareszcie piękniejsi, silniejsi, lepsi, mądrzejsi, czujemy się nareszcie kimś ważnym. Człowiekowi wtłoczonemu w ciasne pudełka domów i wąskie korytarze ulic, przygniecionemu bezduszną masą przedmiotów, zamkniętemu w szarzyźnie i nudzie codzienności, western przynosi smak wielkich, bezkresnych przestrzeni, smak swobody i szerokiego oddechu, smak romantycznej, pięknej przygody łączącej się z poczuciem wartości i siły własnej osobowości. Dlatego m. in. western jest filmem par excellence amerykańskim. Bo tworzy legendę o kraju bez historii. Bo głosi kult wolności i odwagi, i przygody w kraju, który zrodził się wprawdzie z ducha zuchwałych pionierów lecz przeobraził w dominium najbardziej rozwiniętej cywilizacji technicznej na usługach najbardziej małomieszczańskiej middle class. W westernie przetrwały jeszcze ideały pradziadów, dusza dawnej Ameryki kwakrów i zdobywców.

Western stanowi zresztą osobliwą mieszaninę znanego widzowi i w pełni przezeń akceptowanego schematu i nieobliczalnego władztwa przypadku, w którym decydującą rolę odgrywa siła, zręczność, szybkość.

Widz z góry cieszy się na pewne rzeczy, ale też z drugiej strony spotyka okoliczności i perypetie nieprzewidziane. Widz pozostaje w stanie najwyższego napięcia emocjonalnego i niepokoju o losy bohaterów, ale przecież w głębi duszy wie, że wszystko musi się dobrze skończyć. Na tym polega dialektyka westernu. W tym moc jego oddziaływania.

Kapitalne znaczenie ma tu zresztą niedościgniona recepta na tzw. bohatera pozytywnego. Te wszystkie cechy, które niezawodnie pogrążają każdego szanującego się pozytywniaka, tu bez pudła zdobywają sympatię widzów. I znów chyba m. in. dlatego, że pomimo schematyzmu bohater jest jednak tworem dialektycznym. Rzecznik porządku jest jednocześnie buntownikiem. Obrońca interesów zbiorowości — nieposkromionym indywidualistą. Jest człowiekiem zwyczajnym a przecież obdarzonym rysami niepospolitymi, potraktowanym realistycznie a przecież wyidealizowanym na miarę porywającej legendy. Bo western jest także mieszaniną realizmu zwłaszcza realizmu opisu z umownością, konwencjonalnością byliny. I w tym dziwnym pomieszaniu tego co prawdziwe i tego co zmyślone, tego co jest i tego o czym marzymy, tkwi chyba tajemnica jego sukcesu.

W STRONĘ MERITUM

Niezmiernie dużo napisano na temat grzechów telewizji. Interesujące są te litanie wypominające widowiskom uchybienia, potknięcia, czy generalne pomyłki. Interesujące nie ze względu na swój normatywny charakter, nie ze względu na zamknięte w dwóch czy trzech zdaniach postulaty usiłujące w krótkich słowach powiedzieć wszystko: co było do zrobienia, co zrobiono, czego nie. Takie jest prawo wszechwiedzącej krytyki. Nie wdawać się w daleko idące analizy, nie zatrzymywać się zbyt długo nad wygłaszanymi przez siebie stwierdzeniami. Szybko zakomunikować swoje przekonania i szybko zabrać się do następnego widowiska. Ocena jest równie często pozytywna jak negatywna, równie często gani jak chwali. Właśnie oceny najbardziej interesują twórców programów. Są potwierdzeniem ich przekonań, są głosem tych, którzy znajdują się po drugiej stronie ekranu, są ostateczną weryfikacją „prawdziwości" czy „fałszywości" widowiska. Krytyk przemawiający słowami recenzji to reprezentant ogromnej masy telewidzów. Najczęściej równie nie zaznajomiony z tajnikami telewizyjnej roboty jak przeciętny telewidz. Dlatego właśnie jego uwagi się liczą.

Werdykt krytyczny, oceniający walory programu jest zazwyczaj uwarunkowany osobistymi upodobaniami tego, kto sąd wydaje. I z tego względu najczęściej trudno wchodzić z nim w polemikę. O wiele ciekawsze byłoby prześledzenie na jakiej podstawie sąd się wydaje, innymi słowy, co jest przedmiotem oceny. Sprawa ta, na pozór tycząca marginesów zjawiska społecznego jakim jest telewizja, a raczej jej odbiór, ma jednak aspekt ogólniejszy, zajmujący nieblahe miejsce wśród zagadnień percepcji jednego z najbardziej masowych środków komunikacji. Pozwala ona bowiem orzec co widzimy patrząc na ekran odbiornika, co zaś zostaje niedostrzeżone, co wypada z pola naszych obserwacji.

Stosunkowo najjaskrawszych przykładów mogą tutaj dostarczyć przedstawienia teatralne, czy inne widowiska operujące sfabularyzowanym tekstem literackim. Interesujące nas uwagi można znaleźć wśród recenzji każdego tygodnika i dziennika. O czym one traktują? Przede wszystkim o tekście. Mniej o jego literackich walorach, częściej o sposobie jego prezentacji. Ale sformułowanie „telewizyjna prezentacja tekstu", czy „inscenizacja" lub „reżyseria" telewizyjna nie odnosi się w krytyce do niczego poza tym, jak tekst zaadaptowano i jak go zagrano. Bardzo rzadko mówi się o „koncepcji reżyserskiej", a w każdym bądź razie nikt nie tłumaczy, co ma na myśli używając tego określenia. Wreszcie od czasu do czasu zdarza się usłyszeć o scenografii lub muzycznej stronie widowiska. Na tym kończy się indeks „chwytów" artystycznych rejestrowanych przez odbiorców. Czytamy więc i mówimy, że komedia Ostrowskiego wyjątkowo dobrze wypadła w wersji telewizyjnej, a nie o tym, dlaczego dobrze wypadła. Stwierdzamy, że podobała nam się adaptacja powieści Fucika, niezbyt wiele miejsca poświęcamy posunięciom, które adaptację poparły. Ogół nie biorąc, pewna część wysiłków twórców przedstawień telewizyjnych zostaje przez nas niezauważona. Może na mieć poważne obawy, że jest to ta część, która decyduje o specyfice widowiska telewizyjnego.

Siedząc przed telewizorem interesujemy się tym, jak rozegrają się wypadki w rozwoju akcji, tym, jak słynną rolę zagra słynny aktor, tym, czy „Kordian" nadaje się do pokazania na ekranie. Zapominamy, że widowisko telewizyjne jest pewnym ciągiem obrazów, ułożonych według zasad pewnego rytmu i że od skomponowania każdego obrazu i ułożenia wszystkich obrazów w całość zależy ogólny efekt. Zapominamy, że kompozycja kadru może być traktowana jako układ elementów w przestrzeni. Zapominamy, że ustawienie kamery, może w sposób decydujący wpływać na kształt pojawiającego się na ekranie obrazu. Zapominamy o tym wszystkim, co jest celowo założone, przemyślane i przeprowadzone przy realizacji programu. Między realizatorami i odbiorcami staje gruby mur zbudowany przez telewidzów, odrzucających nieświadomie pewną część doznań wzrokowych.

Ostatnio często padają pytania, czy telewizja jest sztuką. Jest sztuką. Tylko sztuką różną od teatru i filmu, których kategoriami chcemy ją traktować.

MIKS

ekranik

Czy lubicie kobiety? To pytanie zadaje Roman Polański, nasz wielki nieobecny, autor scenariusza filmu francuskiego pod tym tytułem. A oto małe streszczonko początku tego filmu — to nas wprowadzi w atmosferę. A więc: Żył kiedyś młody człowiek imieniem Jerome. Cichy i bezpretensjonalny przeraził się bardzo, kiedy znalazł w toalecie restauracji Nirwana trupa. Wyżej wzmiankowany niknie w sposób tajemniczy, a Jerome zakochuje się w przypadkowo spotkanej pięknej dziewczynie imieniem Violetta. Następnego dnia nowa niespodzianka: wezwany przez ciotkę-dziwaczkę, Jerome trafia do mieszkania jej przyjaciółki. Przyjaciółka nie żyje, a w jej lewym oku tkwi igła do kapeluszy... Potem w herbaciarni, w obecności Jeroma i Violetty pewna pani ginie od zatrutej strzały... Oszalały z wrażenia Jerome postanawia pożegnać się z tym światem. Przygotowuje się do tego w przytulnym nocnym lokaliku, po czym świt zastaje go w ramionach pięknej mistrzyni streap-teasu. Z tych ramion wyrywają Jeroma gangsterzy i zamiast porannej kąpieli wrzucają go do Sekwany, ratuje go piękna kobieta, ale nie podoba się to jej mężowi i Jerome ląduje w sproszkowanym gipsie. Potem jakiś dobry przechodzień podpala samochód Jeroma..., potem znika gdzieś Violetta... Sytuacja się wyjaśnia w piwnicach restauracji Nirwana — chodzi o to, że Violetta znakomicie nadaje się na główne danie uczty pewnej dziwnej sekty...

Co dalej — nie zdradzimy. Ale czujecie Państwo tę atmosferkę? Niech żyje Polański — scenarzysta.

* * *

JULIETTE GRECO zadeklarowała swój powrót na deski kabaretu. „Wracam do kabaretu, bo kabaret jest jak miłość. Kiedy śpiewam, czuję oczy i usta publiczności na swoich".

BRIGITTE BARDOT nadal przebywa w Brazylii. Zamach stanu, który obserwowała przez radio i telewizor, mniej ją dotknął, niż ciekawość tłumów. Odmówiła więc udziału w Festiwalu w Rio de Janeiro, a wokół posiadłości swego przyjaciela w Madrague wznosi się mur wysoki na trzy metry. Mówi się zresztą coraz więcej o jej spodziewanym powrocie do Francji i do pracy. Andre Cayatte proponuje jej podwójną rolę w filmie „Zasadzka na Kopciuszka". Ale będzie musiała poddać się szpecącej charakteryzacji? Wielbiciele już na zapas protestują.

Siedmioro starszych państwa udziela wskazówek „Jak postępować w życiu": „Rock Hudson — „nawet jeśli parę razy popełnisz ten sam błąd — zawsze jakoś z niego skorzystasz. Nawet najgorsze z moich filmów nauczyły mnie czegoś. Żałuję, że nie skończyłem szkoły średniej — uczcie się jak najwięcej".

Shirley Temple (tak, ta sama) — „moją bronią numer jeden jest uprzejmość i miłe obejście, nie mylić z obłudą i tchórzostwem. Spróbujcie a przekonacie się, że miła osoba zawsze zdobędzie sympatię otoczenia".

Jayne Mansfield: „Dziewczyna, która uważa, że miłość jest zabawną grą, w krótkim czasie zapozna się z goryczą i brzydkimi stronami życia. Jeśli spróbuje wszystkiego przed ślubem, cóż jej pozostanie do odkrywania w małżeństwie. Miłość trzeba szanować, oszczędzać, jak pieniądze. A w oczekiwaniu na „coś prawdziwego", starajcie się zostać „kimś".

Leslie Caron: „Nawet najbardziej zakochana dziewczyna nie powinna tracić własnej osobowości".

Deborah Kerr: „Kobieta powinna się starać o to, aby być miłą i godną pożądania. Ale uwaga — celem małżeństwa jest sukces związku, a nie potwierdzenie indywidualności.

Debbie Reynolds: „Musisz wiedzieć co i z kim robisz".

Cary Grant: „Młody człowiek często myśli, że ważniejsze jest być „kimś" niż kochać kogoś. Miejcie litość nad młodymi ludźmi, są stale z siebie niezadowoleni. A wystarczy, żeby okazali trochę zainteresowania jeszcze komuś innemu poza sobą".

opr. E. LIWINSKA

Zwierzenia aktorów

JERZY PRZYBYLSKI

Jerzy Przybylski w „Malateście"

Fot. F. Myszkowski

TEATR myślący

Niestety, nie mogę odpowiedzieć jaką określoną rolę chciałbym zagrać, lub w jakiej sztuce chciałbym wystąpić. Interesuje mnie każda dobra rola, w dobrej sztuce, robiona z dobrym reżyserem. Poza tym marzy się na ogół o rolach sztuk klasycznych — a ja wolę i lepiej czuję się w repertuarze współczesnym. Może wynika to stąd, że moje pokolenie nie jest związane z tradycjami dramatu klasycznego w tym stopniu, jak aktorzy okresu przedwojennego; nie umiemy tak odtwarzać tego repertuaru jak oni to robili i może nie powinniśmy.

Wydaje mi się, że wystawienie sztuki klasycznej — zresztą każdej sztuki — powinno być umotywowane potrzebą wypowiedzenia się poprzez nią na temat interesujący współczesnych, o ile ta sztuka, naturalnie, taki problem z sobą niesie. Takie założenie określa oczywiście sprawę tłumaczenia, założeń reżyserskich, wynalazczości scenograficznej no i sposobu gry aktorskiej. Jestem za teatrem intelektualnym — teatrem myślącym z tej i z tamtej strony rampy. Jakie z tego wynikają konsekwencje dla nas, aktorów, dla widza, jaki tego typu teatr ma zakres i sens działania społecznego i jakie stąd wynikają konsekwencje typu administracyjnego? Wielu kolegów zżyma się na tzw. przewagę reżysera-inscenizatora, czy scenografa w teatrze. Czasem jest to wynikiem nieświadomości mechaniki teatru współczesnego, a w wielu wypadkach, zwłaszcza w wypowiedziach aktorów czołowych, u podstaw leży troska nie o przewagę aktorów jako zespołu — ale o własną. Niektórzy chcieliby widzieć w teatrze — teatr jednego aktora tzn. siebie.

Jestem za teatrem zespołowym, którego osiągnięcia składa się wspólny wysiłek reżysera, scenografa i aktorów. Spektakl to nie odegrany choćby najlepiej przez aktorów utwór dramatyczny. To wypowiedź teatru na temat go interesujący, utwór literacki może być pretekstem, kanwą dla tej wypowiedzi, angażujący widza poprzez myśl, wzruszenie czy śmiech. Mówiłem, że teatr to suma wysiłków i środków wyrazu reżysera, scenografa i aktorów. Współczesność narzuca każdej dziedzinie naszego życia działanie zespołowe, czy to w technice, w życiu społecznym, czy w polityce. Kiedyś być może dla zrobienia dobrego spektaklu wystarczył jeden „gwiazdor" — dziś, aby powstał dobry spektakl, niezbędny jest zespół twórców. Skarżąc się często i słusznie na przerosty scenograficzne, dominujące nad pozostałymi elementami spektaklu, musimy sobie zdać sprawę z tego, iż nie jest winą scenografów, że w porównaniu z plastyką — gdzie obserwujemy tak duży i szybki rozwój środków wyrazu — literatura dramatyczna i teatr drepcą w zasadzie w miejscu od lat. Niewątpliwie w takiej sytuacji potrzeb na jest myśl kierująca, którą w naszym przypadku jest reżyser. Czy to z kolei oznacza, jak twierdzą niektórzy, że teatr zabija aktora? Wydaje mi się, że trzeba sprostać nowym wymaganiom jakie wynacza współpraca aktora, reżysera, scenografa. Dobrego, świadomego aktora nie potrafi zabić najlepszy reżyser czy scenograf.

Nie znam stylu pracy u Dejmka, znałem dobrze teatr Skuszanki od chwili jego powstania i muszę przyznać, niezależnie od wielu zastrzeżeń co do stylu pracy w tym teatrze, że zasada była słuszna. Na sukces Skuszanki złożyło się niewątpliwie wiele przyczyn obiektywnych: sytuacja polityczno-kulturalna na przełomie 55/56 r., materialna — nowy teatr, artystyczna — nowy zespół dobrany z ludzi, którzy świadomie chcieli właśnie z nią — i z którymi ona chciała — pracować. Powstał teatr zaangażowany pod względem treści i formy — teatr angażujący, nie pozwalający widowni pozostać obojętną, bez względu na to czy afirmowała wymowę spektaklu czy negowała. Natomiast w pracy z aktorem wiele było tam improwizacji i przypadkowości, co nie zawsze można było utożsamić z tzw. poszukiwaniem. Ani Skuszanka ani Krasowski nie umieli czy nie chcieli wydobyć z aktorów, przeważnie młodych, wszystkiego na co było ich stać. W wielu wypadkach ten krytykowany „szajnizm" inspirował aktorów, nadawał właściwą formę i narzucał koncepcję spektaklu. Nie bywało to też przyczyną dysproporcji pomiędzy wysublimowaną formą plastyczną, reżyserią, a niedostrojonym często w pełni aktorstwem. O ile ich system pracy z aktorem mnie nie odpowiadał, niezależnie od osiągnięć osobistych jakie tam miałem, trzeba przyznać obiektywnie, że był to teatr do końca frapujący.

Z kolei powiedzmy sobie jakie tego typu teatr niesie z sobą konsekwencje wobec widowni i jaki jest jego sens i zakres działania społecznego. Otóż wydaje mi się, że teatr nie musi i nie powinien być jak to się ktoś wyraził „chlebem powszednim" czy rozrywką dla mas. Tu od razu chciałbym się zastrzec przed upraszczaniem (w moim rozumowaniu) pojęcia masy, które zazwyczaj ma u nas sens podziału społecznego: masy utożsamia się z proletariatem. Ja rozumiem to w ten sposób, że teatr nie jest i nie musi być sztuką masową, sztuką dla wszystkich bez względu na przekrój społeczny. Teatr nie jest i nie musi być potrzebą wszystkich lekarzy, wszystkich inżynierów, wszystkich górników, wszystkich dziennikarzy, wszystkich tokarzy...

Teatr nie może i nie powinien zajmować tej pozycji, którą zajmował jeszcze lat temu niespełna 50. Kiedy jeszcze nie było na dzisiejszą skalę rozwiniętego sportu, filmu, czy w ogóle nie było radia i telewizji — teatr spełniał zapotrzebowanie masowe, które dzisiaj przejęły sport, kino, telewizja.

Czy taka sytuacja oznacza obniżenie rangi teatru? Przeciwnie! Tak jak cechą współczesnej nauki jest specjalizacja, tzn. zwężony, lecz wysoki poziom zakresu działania danego zespołu, czy człowieka — tak i teatr powinien zająć się wyłącznie swoją specyfiką, pozostawiając stadionom co sportowe, kinom co filmowe, telewizji co kameralne — a wszystkim tym instytucjom razem to, co masowe w odbiorze.

Przy tej okazji uwolni się teatr od zarzutu eklektyzmu, co w obecnej sytuacji jest nieuniknione.

Takie założenie pociąga za sobą pewne konsekwencje administracyjne. Uważam, że taka obfitość teatrów i scen, jaką mamy obecnie, właśnie obniża poziom i rangę teatru. Dobrzy i źli aktorzy są zarówno w Warszawie, Łodzi, Krakowie, Rzeszowie, Słupsku czy Zielonej Górze, ale — i na to nie ma rady — w pojęciu widza aktor warszawski, to aktor stołeczny, łódzki to aktor wojewódzki, a słupski to aktor na szczeblu powiatowym. Teatr to nie sklep GS, a nasza produkcja to nie artykuł pierwszej potrzeby i nie wolno przez opacznie pojętą masowość obniżać rangi teatru i aktorów. Jestem przekonany, że kilka czy kilkanaście występów w roku dawanych przez teatr z większych ośrodków dla miast powiatowych, zupełnie by wystarczyło — i byłoby wydarzeniem dla tamtejszego widza. A na co dzień jest kino z gwiazdorami amerykańskimi i telewizor z gwiazdorami warszawskimi. Podobny problem istnieje też w niektórych większych ośrodkach miejskich. Np. 9 scen w Krakowie, w tym 6 scen tzw. teatrów dramatycznych plus 1 amatorski grający stale — to lekka przesada w poszukiwaniu i w dopłacie do widza. A opera i operetka nie mają tam swojej sceny, teatr typu kabaretowo-rozrywkowego też nie istnieje, telewizja nic nie robi, bo nie ma odpowiedniego studia. Radykalne zmniejszenie ilości scen dramatycznych rozwiązałoby rozumnie sprawę frekwencji na zasadach podaży i popytu. Niech widz szuka i płaci, a nie odwrotnie. Z drugiej strony pozostałyby realne możliwości rozsądnego przemyślenia i stworzenia bazy aktorskiej dla potrzeb filmu i telewizji, które z kolei mają coraz większe kłopoty z tym problemem. Likwidacja części teatrów, redukcje zespołów — to brzmi groźnie. Czy to oznacza zmierzch i upadek teatru? Nie sądzę. Teatr musi przejść tylko na inne pozycje. Powinien być tym w stosunku do sztuki widowiskowej, czym jest współczesna poezja względem całej reszty literatury.

I nawiązując do wypowiedzi kol. Chamca, drukowanej niedawno w „Odgłosach", który przewiduje zmierzch dzisiejszych form teatru, analogiczny do zmierzchu dorożki, to — jeżeli ma pozostać „dorożka", niech będzie zaczarowana, mająca moc przenoszenia nas szybciej i dalej niż samochód, nawet niż rakieta kosmiczna, a nie wszyscy mogą i muszą latać w kosmos.

Półka z książkami

SZCZĘŚLIWI LUDZIE

Przyswojona nam została powieść zachodnioniemieckiego, a raczej emigracyjnego niemieckiego powieściopisarza, dramaturga i świetnego eseisty — SZCZĘŚLIWI LUDZIE, HERMANA KESTENA, wydana w oryginale w r. 1931. Akcja książki jest prosta, niemal banalna, typowa dla tamtych czasów: bankrutujący drobny kupiec tytoniowy, oszust podszyty dobrymi intencjami, chce się ocalić od więzienia grożącego mu za długi, wydając bogato córkę za mąż. Ale dziewczyna kocha bezrobotnego, ówczesnego „wściekłego", zbuntowanego przeciw zastanej rzeczywistości, Maksa Blattnera. Ojciec dziewczyny jest na swój sposób „milosierny": daje narzeczonemu osiem dni do zdobycia pieniędzy potrzebnych jemu, oszustowi, na pokrycie gardłowych długów. Tych osiem dni, w których Maks poszukuje pieniędzy, osiem dni błagań, żebraniny, gorzej, groteskowej farsy, udręki i upodlenia — to właściwa akcja książki, paradoksalnie zresztą spointowanej.

Nie akcja jest jednak ważna; fabuły się powtarzają, ich ilość jest ograniczona. Ważna jest tonacja: podszyty gorzką drwiną tok liryczny, ironia która nie jest dowcipem, ale solą attycką tej książki. Kompozycja SZCZĘŚLIWYCH LUDZI przypomina najlepsze powieści VIRGINII WOOLF, świetnej angielskiej powieściopisarki, KESTEN pokazuje wnętrza bohaterów i ich subiektywne widzenie świata w formie monologów wewnętrznych, powiązanych nitką wartko płynących zdarzeń, dając nam jednak pełną wiedzę o bohaterach powieści i otaczającym, ówczesnym świecie. Ważny jest styl, język, rytmika tej prozy — nerwowej, zwartej, zaskakującej kontrastami napięć uczuciowych i doznań psychicznych postaci książki. Przeczytajcie koniecznie te banalną na pozór historię miłości dwojga młodych Niemców z lat trzydziestych; jest o wiele „nowocześniejsza" od wielu dzisiejszych „nowoczesnych" rozmazanych powieści na ten temat.

W. K.

Herman Kesten, „Szczęśliwi ludzie", str. 254, Czytelnik. Tłum. Edyta Sicińska.

NADLICZBOWY

Temat tragicznego Września powraca. W XXV rocznicę najazdu hitlerowskiego na Polskę otrzymaliśmy nową powieść Stanisława Kowalewskiego. Oto rozterka, która w tamtych dramatycznych dniach była udziałem setek tysięcy młodych ludzi. Oddajmy na chwilę głos bezimiennemu narratorowi książki: „Dostać się do niewoli, w dodatku jako cywil, który nie oddał do nieprzyjaciela ani jednego strzału — to wyglądało dość nędznie". Więc może ochotniczo zgłosić się do armii? Zbyt wielu było wtedy skłonnych do ofiar. Dano im, bezwolnym świadkom klęski odczuć, że są zbędni. Zresztą gdzie indziej i kiedy indziej przegrana została kampania wrześniowa. Ucieczka rządu i obrona Warszawy przybliżyły tylko oczywiste fakty do świadomości społecznej.

Bohater książki Kowalewskiego bierze odwet za klęskę uwodząc żonę oficera frontowego. Ale nie jest zdolny do cynizmu. W świecie, gdzie konsekwencje zdrady dosięgły milionów, sprzeniewierzenie, którego się dopuszcza, nie ma tej siły, która chciałby mu nadać. Jest bardzo młody i sprawy, które rozgrywają się poza nim, przerastają dotychczasowe doświadczenie życiowe. Jest na tyle młody, że cielesne zbliżenie z kobietą wiąże go z nią trwale. Zwłaszcza, że Halina jest Żydówką, przedstawicielką narodu, na który wydano ten sam wyrok, co na Polskę. Trzeba ratować Halinę! Jeszcze raz zamanifestowana skłonność do ofiar. Ale i tym razem ofiara nie zostaje przyjęta. Halina, u której odnawia się gruźlica, umiera. Klęska zostaje przybliżona po raz drugi, tym razem w rozmiarach indywidualnych. W tych rozmiarach klęska jest bodaj czy nie bardziej dotkliwa.

K. F.

Stanisław Kowalewski, „Nadliczbowy", str. 172, 1964, Czytelnik.

ROMANSE LITERATURY

Streszczenie jest przyjemnym zajęciem. I pożytecznym. Na przykład Kosidowski „na nowo i własnym językiem" opowiedział Biblię. Bardzo pięknie. Streszczono także Szekspira. Można streścić Iliadę, Pana Tadeusza. Dla czego nie? Henryk Vogler napisał „krótki zarys dziejów literatury światowej z punktu widzenia przygód miłosnych jej bohaterów". Opowiedział „na nowo i własnym językiem" wątki romansowe w utworach literackich.

Streszczenia nie są tylko streszczeniami. Autor oprawia je oczywiście w komentarze. Do czego dochodzi po bogatym przeglądzie przygód miłosnych od Homera do Hemingwaya? Że nic nowego pod słońcem. Zmieniają się epoki, a z nią realia, obyczaje, zwyczaje, mody, nie zmienia się tylko sama treść przeżycia. Miłość ma wciąż tę samą młodą twarz. Miłość jest niezmienna, wieczna, ta sama. „Po wielu tysiącach lat, w ciągu których kolejne pary — na ścianach grot lub na papirusach, rylcem, gęsim piórem czy maszyną do pisania — utrwalały swoje uczucia, ludzkość w tym przedmiocie znalazła się w punkcie, od którego rozpoczęły się narodziny gatunku". Dodajmy: sprowadzając rzecz wyłącznie do funkcji biologicznych. Bo czy autor w tym miejscu nie uprościł zagadnienia?

Autorowi przyświecały różne cele przy pisaniu tej książki — najważniejszy — za pomocą owej „niewinnej mistyfikacji" propagowanie dobrej literatury. Też pięknie. Tylko jedna uwaga: są tacy, „których nie trzeba zwabiać w ten sposób" do książki, i ci, „zapewne, nie wezmą tej książeczki do ręki". Przepraszam — w takim razie dla kogo ta „książeczka" (swoją drogą napisana z wdziękiem i humorem)? Czy odświeżamy akcję Promyka pisania dla prostego ludu? Czy piszemy dla samej zabawy?

K. M.

Henryk Vogler, „Romanse literatury", str. 156, Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1964.

PUKAM DO DRZWI

Oto zadziwiający paradoks: Irlandia — kraj niezakończonych po dziś dzień walk o pełną niepodległość — dała światowej literaturze Bernarda Shawa i Jamsa Joyce'a i Samuela Becketta. Żaden z tych pisarzy nie tworzył w języku ojczystym.

Również i mniej od nich głośny Sean O'Casey uchodzi za pisarza angielskiego: w tym języku ukazują się od lat jego książki i dramaty. Ale i on jest Irlandczykiem, jak Joyce dzieckiem Dublina. Co więcej: jest protestantem, a w fanatycznie katolickim Dublinie nie bywa to pomyślną wróżbą na przyszłość. I jest dzieckiem slumsów, zna ich przerażającą nędzę: z tej gorzkiej samowiedzy wywodzi się jego protest społeczny.

Los uczynił więc O'Casey'a buntownikiem. Wszystkie jego książki są wyrazem protestu. Odwaga i radykalizm tego protestu nadały O'Casey'owi jego rangę pisarską. Najpóźniej, z oporami, uznaną w rodzinnym Dublinie. Wydawnictwo Literackie oddając w ręce polskiego czytelnika autobiograficzną powieść Seana O'Casey'a pt. „Pukam do drzwi", wypełnia jeszcze jedną lukę w naszych przekładach współczesnej literatury światowej. Książkę tę warto zalecić każdemu, kogo interesuje Irlandia, kraj pod wielu względami tak podobny do Polski.

SM

Sean O'Casey „Pukam do drzwi", (str. 267). Wyd. Literackie, rok 1964.

WRÓŻBY KALISKIE

Przyszedł do redakcji program festiwalowy IV KALISKICH SPOTKAŃ TEATRALNYCH. Ten nasz mały polski Avignon znad Prosny przekształca spotkania teatralne w prawdziwy festiwal kultury.

Ale czy na pewno?

Na tegoroczną imprezę zjeżdżają teatry z Warszawy, Łodzi, Poznania, Lublina, Gniezna, Koszalina, Zielonej Góry.

Łódź wysyła m. in. swoje dwa bardzo interesujące spektakle: Teatr Nowy — „CZERWONĄ MAGIĘ" GHELDERODE'A, Teatr im. Jaracza — „MALATESTĘ" MONTHERLANTA. Wróżę Łodzi wiele punktów za repertuar przede wszystkim. Atakujący światopoglądowo, śmiały aż do drażliwości (Mnich — w CZERWONEJ MAGII), repertuar współczesny, bo dochodzą przecież jeszcze: „KATAKI" z Teatru Powszechnego i „PIELĘGNIARZE" Teatru Jaracza. Dwa pierwsze spektakle są najlepszymi łódzkimi osiągnięciami ostatnich czasów. Reżyserskimi i inscenizatorskimi także. I aktorskimi. Przewiduję wysokie miejsca dla aktorów łódzkich w tych dwóch spektaklach. I trzymam kciuk — na szczęście. M. in. dla tego aktora, który mówi że jest wprawdzie brzydki, ale ma tyle wdzięku. Łódź zaprezentuje aktorstwo, teatr w ogóle — soczysty, bujny. I natknie się — stawiam horoskop — na poważnego konkurenta, na Teatr Polski z Poznania, tzw. Teatr Marka Okopińskiego z jego „NIE-BOSKĄ KOMEDIĄ" KRASIŃSKIEGO, w reż. Jerzego Kreczmara. Tylko... czy w ogóle dojdzie do tego. Mam pewne powody, aby w to wątpić, ponieważ... Ale jeszcze zaczekajcie.

Teatr Okopińskiego pokaże pozycję bardzo typową dla siebie. Odmienną od łódzkich spektakli. To nie jest bowiem teatr aktorski. Łódzkie teatry, zwłaszcza im. Jaracza, mogą się pochlubić b. ciekawymi, dobrymi pozycjami aktorskimi. Teatr poznański jest teatrem przemyślanych koncepcji literacko-reżyserskich, teatrem zintelektualizowanym; kładzie nacisk nie tyle na walory aktorstwa (może i z konieczności), ile na wydobycie i bardzo klarowne przekazanie zawsze ważkiej idei utworu, zawsze ważkiej dla tego — że tak jest dobierany tam repertuar. Jest to przy tym teatr aktorstwa bardzo oszczędnego, niemal chłodnego; spotkał mnie kiedyś grymas ze strony świetnej aktorki, kiedy powiedziałam, że mnie w tym teatrze nareszcie aktor nie przeszkadza w odbiorze słowa i sensu sztuki. Widziałam w nim „Ifigenię" Goethego, „Don Juana" Moliera i właśnie „NIE-BOSKĄ". Wróżę temu ostatniemu przedstawieniu wysoką punktację za układ tekstowy — Kreczmar włączył do NIE-BOSKIEJ fragmenty NIEDOKOŃCZONEGO POEMATU i obudował całość fragmentami listów Do Delfiny. Teatrowi temu nie wróżyłabym w ogóle powodzenia w Łodzi, raczej w Warszawie lub Krakowie — ze względu na specyficzną strukturę socjalną naszego miasta i przyzwyczajenia teatralne naszego widza, wychowanego właśnie na teatrze t. zw. aktorskim, często z niedobrymi przerostami tego aktorstwa.

Przewiduję w tym roku wielki przetarg na sławę i chwałę współczesnych polskich autorów: tak dojrzałych jak i dla średniaków i dla całkiem — maluchów. W festiwalu biorą udział sztuki Różewicza, Grochowiaka, Choińskiego, Szypulskiego, Wawrzyniaka.

Tak, ale... czy to wszystko nie skończy się tylko na przewidywaniach i horoskopach. Na wróżeniu z fusów albo z puchu nadprośniańskich topoli, właśnie sterczących nad kaliskim Teatrem im. Bogusławskiego, pra-pradziadka naszej pani Hanny Małkowskiej. Dlaczego — chcecie wiedzieć. No to poczekajcie.

Jedźmy tymczasem dalej — wróżę moim rodakom kaliskim wiele dodatkowych rozrywek: przyjedzie przecież z Wrocławia teatr studencki KALAMBUR i z Poznania Teatr MARCINEK. Odbędzie się wystawa malarska poznańskiej grupy JEDNOLITYCH, nazywanych po cichu starymi ŻUBRAMI, jako że grupę tę tworzą profesorowie poznańskiej szkoły sztuk plastycznych. Kinomani kaliscy będą mieli dla siebie festiwal najlepszych długo- i krótkometrażowych filmów polskich. Wróżę sobie, że nareszcie tam zobaczę Iwaszkiewiczowską „MATKĘ JOANNĘ OD ANIOŁÓW" w reżyserii, tak właśnie, Kawalerowicza. Nareszcie będę miała okazję.

Ba! właśnie! Czy będę miała! Otóż to! Wątpię. Nie wierzę absolutnie swoim wróżbom. Od początku do końca. Bo wprawdzie w programie KALISKICH SPOTKAŃ TEATRALNYCH „stoi" jak wół napisane: „Dodatkową atrakcją festiwalu będzie szereg imprez towarzyszących. Poza spotkaniami z ludźmi teatru — aktorami, reżyserami i krytykami, m. in. z A. Hanuszkiewiczem, W. Siemionem, J. P. Gawlikiem, Wandą Karczewską, Tadeuszem Hołujem i Marią Zientarową..." — ale ja, jako żywo, nic nie wiem, że mam być w Kaliszu. Jako dodatkowa atrakcja i impreza towarzysząca. Nikt mnie, jak do tej pory nie zaprosił, nie zawiadomił nawet. Gdyby nie to, że pracuję w redakcji „ODGŁOSÓW", gdzie przyszedł komunikat festiwalowy, w ogóle nie wiedziałabym, że mnie wstawiono do programu, zaplanowano bez mojej wiedzy — jak planuje się nienarodzone dziecię, lub przyrost poglowia w gospodarce narodowej.

A jeżeli tak samo zaplanowano JEDNOLITYCH i KALAMBUR I MARCINKA — bez ich wiedzy, ładny z tego może być kalambur. A jeżeli tak samo w ogóle zaplanowano występy teatrów? Mam prawo tak przypuszczać? Mam. Teatry są tak samo wymienione w programie, czarno na białym, jak Siemion, Hanuszkiewicz, Hołuj i jak ja. Więc? I aczkolwiek moje nieco powiększone i otłuszczone serce rwie się do sielskich stron rodzinnych, a nieco już mdła duszyczka drży przed spotkaniem miejsc, w które chodziło się na wagary z chłopakami — obawiam się, że ja tam nie będę. Mogłam sobie była przecież zaplanować — bez wiedzy Kalisza wyjazd do Paryża albo do Ciechocinka. W każdym razie — mogę nie być w Kaliszu ciałem. Bo co do ducha — to są nadzieje i horoskopy, że jednak tam będę. W jaki sposób? W dzisiejszy — to znaczy materialny i namacalny. Może Wojciech Siemion grać wszystkie zjawy i duchy w „WESELU" WYSPIAŃSKIEGO, które przyjedzie z Warszawy (reż. Hanuszkiewicz) do Kalisza? Czemu by nie miał wystąpić w dodatkowej atrakcji — w roli mojego ducha.

Wróżę mu nawet powodzenie, choć rola pisarza-wieszcza narodu wcale nie należy dziś do najłatwiejszych. Wprost przeciwnie. I nie potrzeba na to żadnych wróżb z liści akacji ani stokrotek, obrywanych dawniej przez stare niekochane panny z myślą o braku miłości ze strony ich władców i panów serc, i ze słowami: kocha? lubi? szanuje? Oj, nie kocha, nie kocha.

Wanda Karczewska

W GOŚCINIE U SENEKI

Kazimierz Bleszyński zaopatrzył swoje wspomnienia pt. „O mnie i nie o mnie" w następujące motto: „Bene qui latuit bene vixit", co na polski wykłada się mniej więcej tak: ten dobrze życie przeżył, kto się dobrze skrył. Można powiedzieć, że Kazimierzowi Bleszyńskiemu udało się zrealizować ten postulat, ale tylko do pewnego stopnia. Każdy człowiek, którego praca ma charakter publiczny (a praca pisarza jest działalnością publiczną), nie jest w stanie odosobnić się i pozostać w ukryciu. Kiedy już ma po uszy działalności społecznej, tęskni do samotności. Kiedy jednak samotność trwa zbyt długo, marzy o rzucaniu się w wir spraw publicznych. Każdy człowiek jest próżny, a próżność domaga się poklasku. Nie mówię tu o tych wyjątkach, które całe życie mogą pozostać w ukryciu i jest im z tym dobrze. Są to owe przysłowiowe wyjątki, potwierdzające regułę.

Niedawno w gronie przyjaciół rozmawialiśmy o „Dialogach" Seneki, które ukazały się dopiero co w pięknym ozdobnym wydaniu, w doskonałym przekładzie Leona Joachimowicza. Jeden z kolegów powiedział: „Czytajcie Senekę dla piękna języka i dla trwałych wartości, których analizie i opisowi poświęca on swoje pióro!" Inny dodał: „Starożytni wiedzieli wszystko lepiej od nas. Po co się wysilamy, zaglądajmy częściej do ich pism!" Udałem się w odwiedziny do Seneki. Przyjął mnie grzecznie, ale bez specjalnego entuzjazmu. Rozumiem go. Jemu przecież chodzi o to, by być szczęśliwym, a nie może nim zostać przyjmując ludzi. Ludzie mają bowiem ten przedziwny talent, że drażnią, wytrącając nas z tak upragnionej równowagi ducha i spokoju. Seneka jest zdania, że „wycofanie się z życia towarzyskiego i publicznego jest samo przez się rzeczą dobrą i pożyteczną". A dalej uważa on: „Wyizolowanie się z tłumu gwarantuje nam niezależność od zmiennych opinii i ocen i zabezpiecza od cudzych błędów". Toteż każdy, kto mu zakłóca ową radość samotności, nie może liczyć na jego przychylność.

Wszystko to pięknie. Tylko zanim Seneka doszedł do tych poglądów, był osobą publiczną, zaangażowaną w życie polityczne swojego kraju. Pisał, działał, przemawiał. Za cesarza Tyberiusza występował jako obrońca sądowy, a następnie wszedł do senatu. Za Kaliguli naraził się swemu cesarzowi tym, że był lepszym od niego mówcą i że zdobył taką sławę, która drażniła cesarza i w jego mniemaniu Seneka zagrażał mu zdobytą pozycją i uznaniem. Za czasów Klaudiusza, zaplątany w sieć intryg niewieścich, został Seneka wygnany na dziką wyspę Korsykę, gdzie przebywał lat osiem i gdzie miał dość czasu na rozmyślania. Nowa żona Klaudiusza, Agrypina, przyczyniła się do tego, że go z wygnania zwolniono. Stał się Seneka wychowawcą syna Agrypiny — jedenastoletniego Nerona. Seneka w lot poznał się na młodziutkim tyranie, przyjaciołom swoim zwierzał się, że hoduje nowego tygrysa. Kiedy Neron wstąpił na tron, Seneka został konsulem, a nawet, jak twierdzą historycy, on w istocie sprawował rządy wspólnie z prefektem pretorianów Afraniuszem Burrusem. Nie mogło to jednak trwać zbyt długo pod bokiem Nerona. Jego nauki stały się uciążliwe dla chciwego uznania i jedynowładztwa cesarza, a wrogowie, których nigdy i nigdzie nie brak, postarali się o to, by Senece uszyć buty czyli wydać przed Neronem jak najgorszą opinię. Po śmierci Burrusa, Seneka pozbawiony opiekuna i popleczника, widząc że jego sprawy stoją źle, usunął się w zacisze domowe, gdzie w towarzystwie swojej pięknej i wiernej żony Pauliny pędził czas na rozmyślaniach i pisaniu. A'e i tu dosięgła go dłoń Nerona. Skazany na śmierć, sam pozbawił się życia, przecinając sobie żyły ze spokojem prawdziwego filozofa.

Człowiek, który wiódł takie życie, musiał wcześniej lub później zatęsknić za samotnością. Potrzeba odsunięcia się od ludzi, była potrzebą człowieka, który widział wiele i który sam padał ofiarą intryg dworskich i zawiści ludzkiej. Jest rzeczą wątpliwą, czy Seneka głosiłby te same poglądy, gdyby życie jego potoczyło się inaczej. Gdyby zamiast burzliwego życia, przy boku cesarzów, wiódł żywot spokojny w oddalonej od stolicy cesarstwa posiadłości wiejskiej. Tęsknimy do tego, czego nam brak, czego nam w naszym życiu nie dostaje.

Powstaje pytanie: jaki pożytek z „Dialogów" Seneki może mieć czytelnik dzisiejszy. Zauważcie, iż nie napisałem: czy może mieć pożytek, lecz: jaki pożytek. Sprawa więc pożytku tej lektury nie ulega, przynajmniej dla mnie, żadnej wątpliwości. Najogólniej rzecz ujmując Senece chodzi w „Dialogach" o rozsądną i racjonalną gospodarkę własnym życiem i czasem. „Nie za mało mamy czasu, ale za wiele tracimy" — mówi w rozdziale „O krótkości życia". Chociaż żyjemy w osiemnaście wieków później, nie nauczyliśmy się sztuki życia. Marnujemy czas na rzeczy marginesowe, uboczne, bezproduktywne. Ogromną energię wkładamy w podjazdy bliźnich, w intrygi, w rozróbki. Cudzy triumf i sukces spędza nam sen z powiek. Ale zamiast dążyć do własnego sukcesu i triumfu, robimy wiele, by ten cudzy sukces pomniejszyć, podważyć, zdyskredytować. Zdumiewające, jak wiele czasu poświęcają ludzie dla zatrucia życia swoim bliźnim, dla zaszkodzenia im w opinii. Nic tak człowieka nie boli, jak powodzenie drugiego człowieka, a zwłaszcza powodzenie przyjaciela. Lekturze „Dialogów" Seneki towarzyszy uczucie goryczy. Oto mamy wspaniałą cywilizację, przeżywamy wiek cudu technicznego, drapiemy się na inne planety, szturmujemy Księżyc, a człowiek prawie wcale się nie zmienił. Jest taki sam jak za czasów Seneki. Zawistny i żądny władzy, okrutny i pozbawiony skrupułów, pierwotny w swoich uczuciach, niepohamowany i samolubny do obrzydliwości.

Drogi Seneko! Nie pomogłeś swoim współczesnym, nie pomożesz i nam. Podziwiamy piękno twojej filozofii i piękno stylu, przyznajemy ci rację i bniemy dalej w to, co ty i tylu innych po tobie zwalczało. Ludzkość bardzo lubi uczyć się na własnych błędach, dlatego przestrogi naszych poprzedników nie mają żadnego znaczenia. Rację miał Wolter pisząc w jednym ze swoich wierszy:

Mylić się wciąż — oto wiano,
Które nam losy zesłały.
Plany robimy co rano,
Głupstwa robimy dzień cały.

Jan Koprowski

Spektakle tygodnia

FILM

POLONIA — „Sędzia dla nieletnich" (4 dni) . . 11 000 widzów
WOLNOŚĆ — „Wojna trojańska" . . . . . 10 500 „

TEATR

JARACZA — „Igraszki z diabłem"
1 spektakl . . . . . 540 widzów — 79%
„Wieczór Trzech Króli"
1 spektakl . . . . . 650 „ — 98%
POWSZECHNY — „Romeo i Julia"
4 spektakle . . . . . 2642 „ — 99%
„Pod własnym dachem"
2 spektakle . . . . . 1019 „ — 76%
NOWY — „Maria Stuart"
2 spektakle . . . . . 1426 „ — 100%
„Maria Octobre"
4 spektakle . . . . . 1763 „ — 89%
7.15 — „Odjazd 6.55"
6 spektakli . . . . . 1582 „ — 60%
OPERA — „Bal maskowy"
1 spektakl . . . . . 711 „ — 100%
OPERETKA — „Ptasznik z Tyrolu"
6 spektakli . . . . . 3960 „ — 94%

FILHARMONIA — Koncert symfoniczny
1 koncert . . . . . 300 „ — 45%

Cyfry procentowe oznaczają stosunek widzów do ilości miejsc na widowni.

Notatnik kulturalny

27. IV. — 3. V.

PONIEDZIAŁEK

Polską szkołę plakatu znają na całym świecie. Łódzka szkoła plakatu dopiero się rodzi. Nie ma cudów — żeby plastycy projektowali plakaty musi być na ten plakat zapotrzebowanie, musi być mecenas, muszą być konkursy, wystawy... Dziś otwarto właśnie taką pokonkursową wystawę. Zarówno wystawę jak i konkurs zorganizowano połączonymi siłami Wydziału Kultury, TPŁ, ŁKKF, Związku Pracowników Poligrafii i ZPAP. Prac nadesłano 34 — łączna wysokość nagród — 29 tysięcy złotych, nagrodzono i wyróżniono 8 plakatów. Te liczby nie są jednak najważniejsze. Uderzyło mnie w tej wystawie co innego. Debiutujący w plakacie łódzcy plastycy zbyt opacznie pojęli bardzo ogólny temat „Łódź". Było więc na konkursowych plakatach zbyt wiele marginaliów, zbyt wiele sztampy. Nie wiem np. czy było celowe poświęcać specjalny plakat... zieleni miejskiej. Ale jak „Łódź" to Łódź — nawet ZOO zarobiło na swój plakat. A wciąż nie ma plakatu-reklamówki, który można by eksponować w biurach „Orbisu", hotelach, na dworcach...

WTOREK

Nie miał racji Stańczyk twierdząc, że w Polsce najwięcej jest domorosłych lekarzy. Na pewno więcej mamy speców od języka. Polacy dzielą się na zwolenników i przeciwników reformy pisowni i szeroko, często bez znajomości rzeczy, na te tematy lubią dyskutować. Język jest kategorią historyczną i nauka musi zachodzące w nim zmiany uwzględniać choćby to na wet burzyło ustalone kiedyś kanony i reguły. Nie da się jednak osiągnąć „ideału" — w żadnym języku słowo pisane nie jest fonetycznym odpowiednikiem mowy. Projekty wprowadzenia w Polsce tzw. pisowni fonetycznej są projektami barbarzyńców. Wydaje mi się, że nauka powinna sankcjonować już zaszłe zmiany w języku, ale nie powinna wyprzedzać żywego nurtu polszczyzny; nie powinna wprowadzać zmian, które jeszcze nie stały się powszechną własnością. Są to zresztą sprawy naprawdę dość skomplikowane i właśnie rektor UŁ prof. dr Stefan Hrabec o tych problemach mówił dziennikarzom, którzy — biję się w piersi — nie zawsze błyskają umiejętnościami składni i gramatyki.

ŚRODA

W podłódzkim miasteczku, nazwijmy je A, drużynie harcerskiej wręczono sztandar. Na sztandarze wyobrażony był kontrefekt Słowackiego, bo szkoła ma niebawem nosić to imię. Bardzo ładnie — Juliusz Słowacki był wielkim poetą, ale wiele bym dał za informacje ile szkół w Polsce nosi imię Wielkiego Juliusza. Co wspólnego ma Maria Konopnicka z łódzkim liceum? Czemu Żeromski jest patronem innej łódzkiej szkoły? Myślę, że musi istnieć jakaś rzeczowa podstawa nazwania szkoły czyimś imieniem. W miasteczku A bywał Rajmund Rembieliński — ale to nazwisko może (choć nie powinno) niewiele mówi; bywał jednak Staszic i gen. Zajączek — im, miasteczko zawdzięcza rozwój. Czemu więc Słowacki, ma zostać patronem miejscowej szkoły? To przykre, ale zbyt wiele decyzji w światku kultury podejmuje się „na żywioł". A to nie jest najlepszy doradca.

CZWARTEK

21 stron poświęca Zygmunt Gloger w swojej „Encyklopedii staropolskiej" hasłu „Pomniki". Było ich w Polsce setki i na pewno wiele z nich zachowało się do dziś. W głogerowskim zestawie znajdujemy odnotowane pomniki Bony i Łokietka, Wazów i Jagiellonów... Dużo tego było, a przecież i współczesność rodzi postacie i wydarzenia godne utrwalenia w monumencie pomnika. Nie są to królowie i możnowładcy — w Łodzi w prostokącie Staromiejskiego Rynku odsłonięto dziś pomnik robotnika i rewolucjonisty, historyka i publicysty — Juliana Marchlewskiego. Marchlewski urodził się w 1866 roku, a więc miałby dziś 98 lat — nie jest to więc wcale tak zamierzchła historia, żyje przecież wielu rówieśników wybitnego rewolucjonisty. A jednak to jest historia. Walka jaką toczyła SDKPiL i KPP przyniosła zwycięstwo. W Związku Radzieckim prawie pół wieku temu — u nas przed dwudziestu laty. W tę dwudziestą rocznicę na Rynku Staromiejskim w Łodzi z miedzianego monumentu bojownika zdjęto płócienną zasłonę.

PIĄTEK

I znów historia. Nie sposób opędzić się skojarzeniom, nie sposób wyeliminować ją z refleksji. 1 maja 1964 roku, 200 000 manifestacja na Placu Zwycięstwa. Plac Zwycięstwa? Czy Czerwony Rynek, miejsce manifestacji wielu rewolucyjnych pokoleń łódzkich robotników? Czerwony Rynek — tu kiaskały kule carskiej żandarmerii, tu klaskały kule granatowej policji. Dziś kilka ulic stąd w Galerii Sztuki odnowionej kosztem wielu setek tysięcy złotych kilkudziesięciu artystów wystawiło 130 prac złączonych wspólnym tematem „Człowiek". Człowiek — ten od maszyny i zza biurka — manifestujący nie na dawnym Czerwonym Rynku, lecz na dzisiejszym Placu Zwycięstwa... człowiek pracy — któremu artyści poświęcają swe dzieła.

SOBOTA

A więc za parę dni rozpocznie się Festiwal Filmów Łódzkiej Szkoły Filmowej. Nie na to nie poradzę, że będzie to piąty, jubileuszowy festiwal. Rok 1964 jest wszak rokiem jubileuszu. Ponieważ jednak w bieżącym roku Łódzka Szkoła Filmowa obchodzić będzie piętnastolecie istnienia, widzowie festiwalu zobaczą nie tylko wybór z produkcji ostatnich dwóch lat, ale także filmy sprzed lat kilku czy kilkunastu — prace szkolne znanych dziś reżyserów i operatorów. Myślę, że będzie to ciekawy przyczynek do historii tzw. polskiej szkoły filmowej, która przecież — co tu kryć — powstała w pałacyku przy ul. Targowej w Łodzi. Takim, ale historycznie poważniejszym przyczynkiem będzie również publikacja „Łódzka Szkoła Filmowa. Materiały historyczne" ale rozwój tej uczelni, fakt, że jest to uczelnia z patyną czasu określają najlepiej trzy „historyczne momenty". Pierwszy — kiedy absolwent PWSF zrealizował swój samodzielny, pełnometrażowy film. Drugi — kiedy absolwent został kierownikiem artystycznym zespołu filmowego. Trzeci — kiedy córka absolwenta zdała egzamin wstępny na reżyserię.

NIEDZIELA

Wystartowaliśmy ładnie. Dni Oświaty, Książki i Prasy rozpoczął dziś rano wielki kiermasz w parku im. Sienkiewicza. Ponad 6.000 książek w 27 stoiskach, 1.000 tytułów, a wśród nich „Opowieści bilijne" Kosidowskiego, druga część „Pamiętników" de Gaulle'a, „Przy szabasowych świecach" Safrina — a więc książki, o których co prawda słyszeliśmy, że są, ale że są... nie do zdobycia. W tegoroczne obchody Dni Oświaty także wcisnęły się jubileusze. Oczywiście XX-lecie PRL — wiadomo. Ale także XV-lecie działalności PP „Dom Książki", ale także XV-lecie obchodów Dni Oświaty, no i wreszcie rocznicowa kolubryna. W 1364 roku mądry król Kazimierz Wielki (którego tak brzydko sportretowano na nowych dziesięciozłotówkach) wydał znamienny akt erekcyjny, ustanawiający zawód sprzedawcy i przepisywacza ksiąg. A więc — 600-lecie polskiego księgarstwa. Zdaje się, że te cztery rocznice tak zbulwersowały jubilatów-księgarzy, że wyciągnęli z zakamarków skromne zapasy nowości na zasadzie znanego powiedzenia „jak szaleć to szaleć, panie kelner — jeszcze pięć deka kaszanki".

J. W.

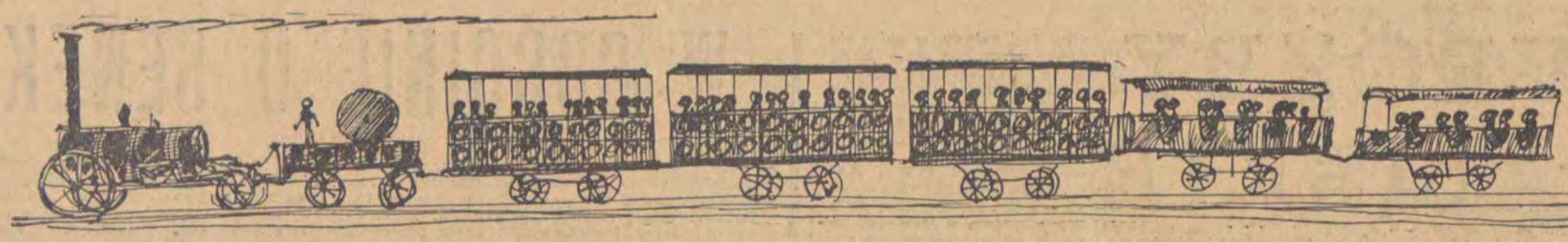

RAY BRADBURY

SMOK

Noc huczała w niskich trawach nad bagnami. Ustał wszelki ruch. Minęły lata od owej chwili, kiedy ostatni ptak przeleciał przez ogromną, ślepą muszlę nieba. Dawno temu kilka małych kamyków symulowało życie, aż pokruszone, upadły w proch. Teraz tylko noc krążyła w ciałach dwóch mężczyzn, skulonych przy samotnym ognisku na pustkowiu. Ciemność przepływała przez ich żyły i łomotała w skroniach i w przegubach rąk.

Postrzępione płomienie oświetlały zdziczałe twarze i odbijały się w źrenicach. Mężczyźni nadsłuchiwali. Każdy z nich słyszał oddech drugiego, zimny i słaby. Każdy z nich widział jaszczurcze migotanie powiek drugiego. Aż wreszcie jeden z mężczyzn końcem miecza zaczął rozgrzebywać płonące węgle.

— Przestań, głupcze! Zdradzisz nas!

— I co z tego? — odparł tamten. — Smok i tak wyczuwa nas z odległości wielu mil. Na Boga, co za zimna noc! Chciałbym być znowu w moim zamku!

— Nie szukamy snu. Szukamy śmierci.

— I po co to wszystko. Smok nigdy nie odważył się pojawić w mieście.

— Cicho, durniu! Pożera tych, którzy wędrują z naszego miasta do innych miast.

— No to niech ich pożera! O, wróćmy do domów!

— Cicho! Słuchaj!

Dwaj mężczyźni zastygli.

Nadsłuchiwali długo, lecz jedynym dźwiękiem, jaki do nich dobiegł, było dzwonienie srebrnych sprzączek u strzemion i nerwowe drżenie czarnych koni.

— Ach — westchnął ten, który pragnął powrócić do domu. — Cóż to za kraina, ta kraina widm! Wszystko może się tu zdarzyć! Ktoś gasi słońce. I zapada noc. A potem, a potem, o dobry Boże, słuchaj! Ten smok! Mówią, że ma oczy z płomieni. A gdy oddycha, tryska biały dym. Pełznie, płonący, przez tę mroczną krainę. Podpala trawę, grzmi i bryzga siarką. Bydło ucieka na jego widok i zdycha, obłąkane. Kobiety wydają na świat potwory. A wściekłość smoka kruszy i rzuca w pył mury i wieże. O wschodzie słońca jego ofiary, rozdarte na strzępy, leżą na zboczach wzgórz. Ilu rycerzy wyruszyło przeciw temu potworowi? Ilu zginęło, jak i my zginiemy?

— Dość już zginęło.

— Dość! Tu, na tym pustkowiu, gdzie nawet rzec trudno, który to rok już mamy.

— Dziewięćsetny od dnia Narodzin.

— Nie, nie — szepnął drugi z mężczyzn, przymykając oczy. — Tu, na tych bagnach, nie ma Czasu. Tu jest tylko Wieczność. Zda mi się, że gdybym wrócił teraz na gościniec, nie odnalazłbym ni miasta, ni ludzi, i wszystko byłoby tam przemienione, kamienie zamku jeszcze nie wyciosane ze skał, bełkowania jeszcze nie wycięte z głębi lasów. Tak mi się zdaje. Tak mi te bagna mówią. A my musimy tu czekać samotni, w krainie ognistego smoka!

— Lękasz się? Oblecz zbroję!

— Po co? Smok nadlatuje znikąd. Nie wiemy, gdzie przebywa. Znika we mgle i nie wiemy, dokąd leci. Tak, czas nałożyć zbroję. Umrzemy w tych zbrojach.

Zapinając srebrzysty pancerz, mężczyzna obrócił głowę i spojrzał w ciemność.

Poprzez zamgloną krainę, wypełnioną przez noc i przez nicość wiejącą z serca bagien, przebiegł wiatr, niosąc kurz z klepsydr, w których tylko kurz odmierza czas. Czarne słońca płonęły w sercu tego nowego wiatru, czarne słońca i miliony spalonych liści, zerwanych z jesiennych drzew poza horyzontem. Ten wiatr roztapiał krajobrazy i topił kości, niby biały wosk, i gotował krew i wtłaczał ją, niby błoto, w szczeliny mózgu. Ten wiatr to były dusze umierające i przemieszane ze wszystkim czasem i unoszone w przestrzeniach. Mgła była w sercu oparów, a opary w sercu ciemności, a owa ziemia była ziemią niczyją i nie było na niej ani roku, ani godziny, tylko ci dwaj mężczyźni w pustce pozbawionej twarzy, w pustce nagiego mrozu i tylko wiatr, tylko biały grom, lecący za nagle pokruszoną taflą zielonego szkła, błyskawicą. Gwałtowne podmuchy deszczu uderzyły w darń i wszystko ucichło. W ciszy bez tchu dwaj mężczyźni stali, oczekując, w ciepie swych ciał, w środku chłodnego sezonu.

— Tam — szepnął pierwszy. — Tam.

W odległości wielu mil, z krzykiem i śpiewem, pędził przed siebie smok.

Mężczyźni zapięli zbroje i w milczeniu dosiedli koni. Smok ryczał, zbliżając się i noc nad pustkowiem rozdarły nagle potoki światła. Żółty poblask wytrysnął nad wzgórzami, człony mrocznego cielska przewalały się w dali, na razie trudne jeszcze do rozróżnienia, aż spłynęły po zboczu i zniknęły, pogrążając się w pobliskiej dolinie.

— Szybko!

Spięli konie ostrogami i pogalopowali ku niewielkiej kotlinie.

— Tędy będzie pełzł!

Pochwycili lance okutymi w stal dłońmi i oślepili konie opuszczając im na oczy przyłbice.

— Panie!

— O tak, w imię Boże!

W tym momencie smok wynurzył się spoza wzgórza. Jego olbrzymie, bursztynowe oko dostrzegło rycerzy i rzuciło czerwony blask na srebrzyste zbroje. Z przerażającym rykiem i miażdżącym chrzęstem smok rzucił się do przodu.

— Naprzód!

Lanca uderzyła w żółte, pozbawione powieki oko, wygięła się i wyrzucony z siodła mężczyzna opadł na ziemię. Smok porwał ciało, wlókł je, przewracał, miażdżył swym ciężarem. Pełznąc naprzód, wygiął się, uderzył bowiem w drugiego jeźdźca, cisnął go, zmiażdżonego, wraz z koniem na stromie, połodowcowe skały i pomknął dalej, rycząc, w blasku ognia, w płomieniach, żółtych, czerwonych, różowych, tryskających ze wszystkich stron, w pióropuszu oślepiającego dymu.

— Widziałeś! — krzyknął głos. — Tak, jak mówiłem!

— Ten sam! Ten sam! Rycerz w zbroi! Do diabła! Trzepnęliśmy go zdrowo!

— Zatrzymamy się?

— Raz się zatrzymałem. Nie nie znalazłem. Nie lubię zatrzymywać się na tych bagnach. Strach mnie bierze.

— Przecież w coś trzepnęliśmy...

— Gwizdałem, ile się dało. Facet ani drgnął.

Gwizd rozdarł mgłę.

— Będziemy w Stokely na czas. Dorzucić ci węgla, Fred? Następny gwizd rozdarł puste niebo. Pociąg pośpieszny, w ogniu i furii, przeleciał przez dolinę, i wspinał się teraz w górę, pozostawiając za sobą pasma pary i czarnego dymu, rozwiewające się w oniemiałym powietrzu w chwilę po zniknięciu ostatnich wagonów.

tłum. T. K.

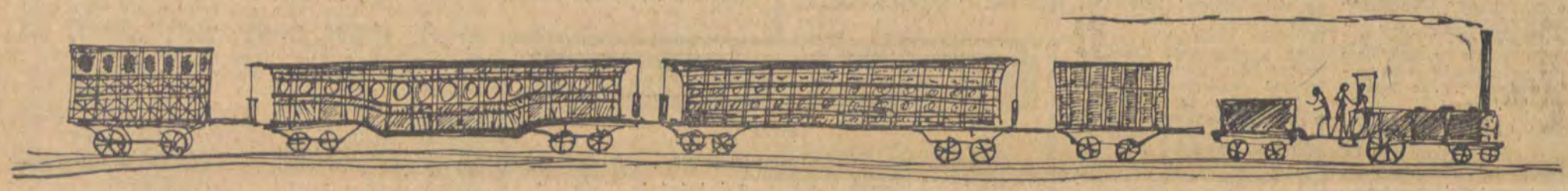

Kobieta w świecie mężczyzn

WSZYSTKIEMU WINNE BAJECZKI

Moja córka uczy się angielskiego. Ostatnio z zapałem tłumaczy czytanki ze zbioru „New Method Readers" opracowanego dla pożytku uczących się angielskiego maluchów przez dra filozofii Michaela Westa. Od czasu do czasu z przerażeniem podsłuchuję, co też wymyślili dla dzieci ci spokojni, opanowani synowie Albionu. Oto, na przykład, ćwiczenie z pierwszego tomiku czytanek: „Było trzech braci, Tom, Dick i Jack. Tom nie ma ramion, Jack nie ma oczu. Król powiedział: „Jeden z trzech braci przeszedł przez rzekę i wziął pieniądze". Jak nazywa się ten brat, który wziął pieniądze?"

Albo taka bajeczka o Ptaku, Myszce i Bochenku. Żyli oni razem w jednym domku. Pan Ptak przynosił drzewo z lasu, Pani Mysz nosiła wodę, a Pani Bochenek gotowała jedzenie. Nagle Pan Ptak się zbuntował i powiedział, że noszenie drzewa jest najcięższą pracą. Wobec tego nastąpiła zmiana: Pani Bochenek, poszła po drzewo do lasu, Pani Mysz zajęła się kuchnią, a Pan Ptak przyniesieniem wody. Ale Pani Bochenek nie wracała i nie wracała. Ptak poszedł jej szukać i spotkał Wilka. Następuje uroczy dialog:

Mr. Ptak: — Panie Wilku, czy widziałeś dziś Panią Bochenek?

Mr. Wilk: — Tak, ona była tutaj.

Mr. Ptak: — A gdzie jest teraz?

Mr. Wilk: — Ona teraz też tu jest.

Mr. Ptak: — Gdzie? Nie widzę jej.

Mr. Wilk: — Bo ona jest we mnie. Ja ją zjadłem. Pani Bochenek nie powinna chodzić po drzewo do lasu. Bochenki winny siedzieć w domu.

W dalszym ciągu bajeczki Pani Mysz przewraca się i płonie w ognisku, a Pan Ptak topi się w studni. W morale czytamy: każdy powinien wykonywać tę pracę, jaka jest mu przeznaczona.

Morały wszystkich bajek dla dzieci są na ogół okrutne. Przypomnijcie sobie choćby historię o Ali Babie i 40 rozbójnikach. Najpierw trup brata, potem czterdzieści trupów zalanych wrzącą oliwą przez okrutną żonę Ali Baby. Brr...

Trudno się dziwić, że następnie z okrutnych dzieci wyrastają okrutni mężczyźni... niewątpliwie, na skutek nadmiernego wczytywania się w bajki. Gorsze, że kobieta w naszym społeczeństwie nie ma właściwie żadnej broni przeciwko egoizmowi i okrucieństwu mężczyzny. Nie pojawia się żadna dobra wróżka ani porządny smok.

Zaraz wyjaśnię co przez tę „broń" rozumiem: emancypację wykorzystano do stworzenia mitu o „równorzędności" sytuacji kobiety i mężczyzny. Poznają się, pokochają. Biorą ślub (czy nie biorą). Następnie mężczyzna „przestaje kochać". Trudno! Jest wolnym obywatelem! Istnieje emancypacja! Każdemu wolno kochać, każdemu wolno przestać kochać! Jest sprawą zgodną z moralnością, że strona, która „przestaje kochać" nie może dłużej „pozostawać w okowach". Nie wolno gwałcić uczuć. Więc w zupełnej zgodzie z własnym sumieniem mężczyzna odchodzi, i, na przykład „zaczyna kochać" inną.

Rzecz w tym, że równouprawnienie w tym względzie jest fikcją i fałszem. Kobieta zostaje samotna, starsza o parę lat, wykończona nerwowo — i bez szans. Zawsze przegrywa.

Przed laty broniła jej rzecz najpoważniejsza: opinia publiczna. Rozwód, odejście od żony było dla człowieka piastującego odpowiedzialne stanowisko społeczne (lekarz, inżynier, urzędnik) związane ze skandalem. Odbijało się na jego pracy zawodowej, na karierze. Dziś tego nie ma. Opinia publiczna przestała reagować, krzywda wyrządzona kobiecie staje się czymś naturalnym i zupełnie zrozumiałym. I tu chyba, a nie w tylekroć omawianej swobodzie obyczajów młodzieży, tkwi przyczyna rozwodów.

Nasz kodeks rodzinny próbuje w jakimś stopniu przeciwdziałać temu. Jeżeli ustalono winę jednego z małżonków, to drugi ma teoretyczne prawo do pięcioletniej pomocy materialnej — a przecież w 99 przypadkach sytuacja materialna mężczyzny jest o wiele lepsza i odejście małżonka jest dla kobiety równoznaczne nie tylko z samotnością, ale i z wielkimi kłopotami finansowymi. Ba — ale na ogół ta „wina" jest wspólna — bo jeżeli mężczyzna zdradza żonę albo zaniedbuje dom, to jej naturalną reakcją jest gderanie i awantury. Wtedy już i ona jest „winna". Znam tylko jeden wypadek, że łagodna żona, kiedy mąż ją porzucił, zabrał z domu wszystko i przyszedł po telewizor, spytała: „Jasiu, czy ty mnie przypadkiem nie krzywdzisz?"

Poza tym, żeby taką pięcioletnią pomoc uzyskać, trzeba przeprowadzić nowy proces. Nie każda kobieta ma na to siły i środki. Więc nawet i to obraca się przeciw niej. Przed okrucieństwem mężczyzn, przed indyferentyzmem opinii publicznej — nie ma obrony. Bajka nie chce się dobrze skończyć.

Nie pomogą żadne przepisy, jeżeli nie będziemy ze wszystkich sił walczyć o zmianę postawy społeczeństwa. O to, by porzucenie kobiety było traktowane z powrotem jako skandal i fakt niedopuszczalny. Bo kobieta nie jest wcale równorzędnym partnerem i nawet prawo głosowania nie zmienia jej sytuacji...

Albo — może zabrać dzieciom bajeczki?

EWA

fraszki jana Czarnego

BŁĘDNY RYCERZ

Nawet na końcu drogi
przypina ostrogi.

EPOKA

Wszystkiemu winna epoka,
że — zamiast orła — sroka.

Komitet redakcyjny: Halina Bekowa, Wacław Biliński (red. naczelny), Konrad Frejdlich, Wanda Karczewska, Tadeusz Papier, Jarosław Marek Rymkiewicz, Włodzimierz Stokowski. Kolegium: członkowie komitetu redakcyjnego oraz Zbigniew Faliński, Jan Koprowski, Maria Kornatowska. — Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka" — Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie zł 4; kwartalnie zł 12. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. — Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem: na „Odgłosy". Druk: RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1414. V. 64. F-13